

PREZENTUJEMY

Jan Paweł II
Tryptyk Rzymski
(fragmenty)

2. Źródło
(z cyklu STRUMIENI)

Zatoka lasu zstępuje
w rytmie górskich potoków...
Jeśli chcesz znaleźć źródło,
musisz iść do góry, pod prąd.
Przedzierań się, szukaj,
nie ustępuj,
wiesz, że ono musi tu gdzieś być –
Gdzie jesteś, źródło?... Gdzie
jesteś, źródło?!

Cisza...
Strumieniu, leśny strumieniu,
odsoń mi tajemnicę
swego początku!

(Cisza – dlaczego milczysz?
Jakże starannie ukryłeś tajemnicę
twojego początku.)

Pozwól mi wargi umoczyć
w źródlanej wodzie
odczuć świeżość,
ożywczą świeżość.

4. Sąd
(z cyklu MEDYTACJE NAD KSIĘGĄ
RODZAJU)

W Kaplicy Sykstyńskiej artysta
umieścił Sąd.
W tym wnętrzu Sąd dominuje
nad
wszystkim.
Oto kres niewidzialny stał się
tutaj przejmująco widzialny.

Kres i zarazem szczyt
przejrzystości –
Taka jest droga pokoleń.

Non omnis moriar –
To co we mnie niezniszczalne,
teraz staje twarzą w twarz z
Tym,
który Jest!
Tak zaludniła się ściana central-
na sykstyńskiej polichromii.

Pamiętasz Adamie? On na
początku ciebie pytał *gdzie
jesteś?*

A ty odrzekłeś: *Ukryłem się
przed Tobą, bo jestem nagi.*
Któż ci powiedział, że *jesteś
nagi?*

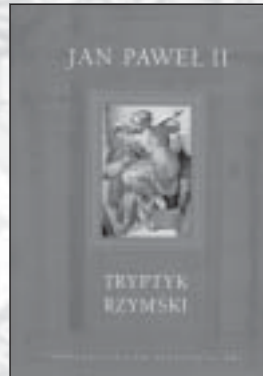
Niewiasta, którą mi dałeś podała
mi owoc...

Ci wszyscy, którzy zaludniają
ścianę centralną sykstyńskiej
polichromii,
niosą z sobą dziedzictwo twojej
wówczas odpowiedzi!
Tego pytania i tej odpowiedzi!
Taki jest kres waszej drogi.

**(tac.) Nie wszystkim umrę.*

4. Bóg przymierza
(z cyklu WZGÓRZE W KRAINIE
MORIA)

O Abrahamie – Ten, który wszedł
w dzieje człowieka,
pragnie tylko przez ciebie
odsonić tę tajemnicę zakrytą od
założenia świata,
tajemnicę dawniejszą niż świat!



Jeśli dziś wędrujemy do tych
miejsc,
z których kiedyś wyruszył
Abraham,
gdzie usłyszał Głos, gdzie
spełniła się obietnica,
to dlatego,
by stanąć na progu –
by dotrzeć do początku
Przymierza.

Bo Bóg Abrahamowi objawił,
czym jest dla ojca ofiara
własnego syna – śmierć ofiarna.
O Abrahamie – tak bowiem Bóg
umiłował świat,
że Syna swojego dał, aby każdy,
kto w Niego uwierzył,
miał żywot wieczny.

– Zatrzymaj się –
Ja noszę w sobie twe imię,
to imię jest znakiem Przymierza,
które zawarło z tobą Słowo
Przedwieczne
zanim stworzony był świat.

Zapamiętaj to miejsce, kiedy
stąd odejdziesz,
ono będzie oczekiwać na swój
dzień –

POWŚCIĄGLIWOŚĆ I PRACA

MIESIĘCZNIK KATOLICKI
WYDAWANY NAKŁADEM
XX MICHALITÓW

SPIS TREŚCI

- TRYPTYK RZYMSKI – Jan Paweł II 2
- PYTANIE, UFNOŚĆ I PASCHA – ks. M. Gładysz CSMA 3
- A JEDNAK WOJNA – P. Smogorzewski 4
- KLAMRA POEZJI – E. Zdanowicz 4
- POWIERNICA DZIENNICZKÓW
– o *Dzenniczkach* św. s. Faustyny z s. Janiną Piekut
rozmawia ks. S. Łącki CSMA 5
- INFANTYLIZM – MM 7
- WIELKANOC – M. Przybysz 8
- SPRAWIEDLIWOŚĆ JAK CHLEB – P. Skórzyński 10
- WOKÓŁ DYSKUSJI O INTEGRACJI
– ks. B. Markowski CM 12
- NA KÓŁKACH Z UŚMIECHEM (cz. 4)
– M. Malinowska-Orfinger 14
- CHOĆ WYPAROWAŁ – J. Trammer 16
- PASJA WG TWÓRCÓW LUDOWYCH – J. Kossakowski 16
- SIOSTRY ZMARTWYCHWSTANKI
– rozmowa z ss.: J. Paulą Cichocką,
A. Heleną Skalik i A. Noemi Lendzioszek 17
- PRAWDA NAS PRZETRWA – S. Stanik 24
- APOKRYFY – ks. M. Starowieyski 26
- MISJONARZE ŚW. RODZINY – Duszpasterstwo Powołań 27
- CIEŃ STALINA – I. Sikora 28
- III PRZYKAZANIE – M. Szreder 29
- ANIOŁ ULICY TOPOGRAFÓW – H. Oleschko 30
- DZIĘKUJEMY, PROFESORZE – ks. M. Gładysz CSMA 32
- KSENOFOBIA – J. Lilpop 33
- KORUPCJA I KINDERSZTUBA – H. Ilfing 34
- WIELKI SZU – J. Wegner 35
- POLEPSZYĆ PRZESTĘPCOM – A. W. Pawluczuk 36
- POTĘGA IGNORANCJI – S. Michalkiewicz 37
- PRZEGNIŁY SYSTEM – AWP 38
- ŚW. S. FAUSTYNA – rec. ks. S. Ł. 39

FOT. OKŁADKA I – Arras: *Zmartwychwstanie* – G. Gałązka
FOT. OKŁADKA II – G. Gałązka

Numer zamknięto 20 marca 2003 r.

ks. Mieczysław Gładysz

Pytanie, ufność i Pascha



Można sobie wyobrazić, jak potoczyłyby się losy *plemienia adamo-
wego*, gdyby nasz praojciec – po
sprzeniewierzeniu się – sam zaczął
wolać Boga, pytając Go: – *Co się stało, co się dzieje,*
że (on – Adam) zaczął się lękać, zaczął się wstydić...

Pytanie jest ogromnie ważną sprawą (nie rzeczą!).
Heidegger nazywa je *pobożnością myśli*. Najpoboż-
niejsza jest myśl, gdy szuka, pyta Boga... Adam nie
pytał Boga: – *Gdzie jesteś, bo ze mną jest coś nie tak!*
– Nie szukał Boga. Adam skrył się za rzeczy, za kuli-
sy, za ludzi... – *To nie ja, to niewiasta!* Ona zaś: – *To
nie ja, to wąż!* Zabrakło ufności do Boga. Nie wie-
dzieli nasi prarodzice, że ufność ku Bogu wyrażona
w pytaniu o siebie byłaby jednocześnie jakby dotknię-
ciem Wszchemocnego i ocaleniem.

Gdy ufasz – budzi się rozum! – mówili Ojcowie Ko-
ścioła. Bez zaufania sam dialog może się okazać bez-
przedmiotowy, może być samą spekulacją; kto kogo
przechytrzy, jak drugiemu najdotkliwiej dopiec, jak
go położyć na łopatki...

Kościół, jak mądra matka, bogaty w dwudziestowie-
kowe doświadczenie, co roku prowadzi do **Paschy** swo-
je dzieci, przez krainę świętego **czasu wielkopostne-
go**. I mówi do każdego z nas: – *Jeśli jesteś* – jak twier-
dzisz – *chrześcijaninem, człowiekiem Chrystusa, to
spróbuj przywołać Go i przy Nim zapytać o siebie...*
Zanim dotrze do ciebie Boże pytanie – ty się odezwij:
Oto jestem! Jak Abraham, jak Samuel... Wtedy głos Pana
będzie jednocześnie dotknięciem łaski, znakiem wybra-
nia. Wszystkie wielkopostne misje, rekolekcje mają nam
pomagać w sformułowaniu owych pytań o siebie. Cho-
dzi bowiem o to przede wszystkim, by pośród tych du-
chowych zapasów, a może w ich rezultacie, zobaczyć
swoją **Rezurekcję**, zobaczyć siebie – nie tyle oczyma
Boga, co raczej – w oczach Boga. Jak w lustrze! To
będzie jednocześnie obietnica przebaczenia i zmar-
twychwstania. Obietnica najwyższego przymierza, dzie-
ki któremu wciąż będzie odżywać pamięć dotknięcia
Łaską. A to z kolei pomoże przetrwać najbardziej po-
wikłane doświadczenia rzeczy, spraw i ludzi... Bo moje:
– *Oto jestem* – to nie tylko powtórka Abrahama, Samu-
ela... to również trwanie pod krzyżem, czuwanie w pas-
chalny poranek. To – wytrwanie. Aż do triumfalnego
Alleluja! Żyje Pan! Nadzieja moja! ■

A jednak wojna...

Ojciec Święty zna te słowa. Musiał je słyszeć. Legendarny spiker Polskiego Radia – Józef Malgorzewski, wrześnie-
wym światem 1939 roku, jako pierwszy obwieścił światu: – **A jednak wojna...**

Choć od tamtego dnia minęło ponad sześć dziesięcioleci, to wciąż nie jesteśmy w stanie uświadomić sobie ogromu tragedii, jakich doświadczyła, wtrącona wówczas w bestialski zamęt, nasza cywilizacja.

– **A jednak wojna...** Na nic zdały się papieskie apele o zachowanie pokoju, na nic mediacje watykańskich emisariuszy. W biblijnej ziemi Abrahama, w rejonie Zatoki Perskiej, znowu giną i umierać będą ludzie! Działająca z elektroniczną precyzją militarna machina okazała się być głucha na przesłanie miłosierdzia. Wielkopostna refleksja nad Chrystusową Męką, w którą w sposób absolutny wpisany jest cały człowieczy los, zdaje się nic nie mówić władcóm doczesności. Widać inne bogi mają przed Nim...

Nie do zapomnienia jest cisza ubiegłorocznej modlitwy Jana Pawła II w wawelskiej Katedrze. Zostanie ona, już chyba na zawsze, przynajmniej dla katolików w Polsce, symbolem sprzeciwu wobec zmaterializowanego świata, który mami marnością i konsumpcyjnym jazgotem próbuje zagłuszyć refleksje sumienia. Teraz, w zgiełku codzienności, przyjdzie się nam zmierzyć również z propagandą chcącą byśmy uwierzyli, iż na Bliskim Wschodzie toczy się wojna sprawiedliwa. Jakże by nie były interpretacje dokonywane przez polityków i dziennikarzy tego – ukutego przez św. Tomasza z Akwinu – pojęcia, to trzeba jednak zapytać, czy zwać człowieka możemy sprawiedliwym, jeśli niewinnym odbiera życie?

Modlitewna cisza papieskiego skupienia – włączmy się w nią. Tym bardziej, że na wojnę przeciwko Irakowi pojecha-
li i nasi żołnierze. Czekają na ich szczęśliwy powrót matki, ojcowie, żony, dzieci, bracia, siostry... My wszyscy.

Paweł Smogorzewski

RECENZJA

Klamra poezji

Onegdaj, zapytany o twórczość poetę, Jan Paweł II – odganiając się od natręta, który wyrwał się ze swoim pytaniem jak *Filip z konopi* – miał odpowiedzieć, że *dzisiaj wiersze pisze za niego ks. Jan Twardowski*. A były to, jak wiadomo, czasy prawdziwie wielkiej powagi.

Badania literackie coraz odważniej sięgały do metod archeologii i do dobrego tonu należało głoszenie poglądów, jakoby prawdziwa literatura kończyła się, dla jednych – na Mickiewiczu, dla drugich – na Słowackim. Chociaż już wówczas, wczesny Mickiewicz coraz częściej był zaliczany do *trockistów*.

Tymczasem zdarzyła się w Polsce rzecz dziwna. Obok, zepchniętego poza margines, nurtu liryki sacralnej, jak grzyby po deszczu zaczęli wyrastać poeci w sutannach i habitach. Ponieważ poezji kapłańskiej, której nurt coraz mocniej dawał znać o sobie nie zadekretowano na żadnym plenum, funkcjonowała ona niejako poza oficjalnym obiegiem. Do jej najwybitniejszych przedstawicieli zaliczają się z jednej strony tacy poeci, jak, wymieniony już wyżej, ks. Jan Twardowski oraz ks. Paweł Heintsch i ks. Janusz Pasierb. Z drugiej zaś strony mamy twórcę liryki filozoficzno-mistycznej, drukującego pod pseudonimami, ks. kardynała Karola Wojtyłę. Jego twórczość w całości udo-
stępniła czytelnikowi krakowska oficyna wydawnicza **Znak**. Wydaje się, że dziś nie podobna traktować najnowszego poematu Jana Pawła II w oderwaniu od tamtej twórczości.

Ileokroć sięgam do pisarstwa Karola Wojtyły, staję mi przed oczami słowa, które wygłosił (już jako Jan Paweł II) 21 maja 1983 roku w teatrze *La Scala*. Być może wiąże się to w jakiś sposób

z owym narastającym w nas napięciem, które poprzedzało wielkie czekanie na przybycie Namiestnika Chrystusowego do Polski, tak niemiłosiernie przecież zmaltretowanej. Słowa wypowiedziane w *La Scala* brzmią następująco: *Pragnę, by moje przybycie tu, jakkolwiek niecodzienne, było aktem obecności w świecie sztuki, czyli w świecie pozostającym na służbie ducha, który odczuwa potrzebę oderwania się od codziennego trudu... Świat sztuki, który tutaj zawsze cieszył się i cieszy szczególnym uznaniem, związany jest z postaciami odgrywającymi i dzisiaj poważną rolę w powszechnej cywilizacji. To coś więcej aniżeli tylko muzyka; to życie moralne jako wyraz najwyższej wrażliwości; to poezja...*

Na przestrzeni ostatnich lat nie było takiej poetyckiej książki, która wzbudziła tyle emocji i tak wielkie zainteresowanie czytelników na całym świecie, jak właśnie wydany ostatnio Jana Pawła II **TRYPTYK RZYMSKI**. To wielka radość, że porwany *Bożym wichrem zdarzeń*, w onym ... *październiku pamiętnego / roku dwóch konklawe* – Poeta z Krakowa, koniec końców, *pióra nie złamał*. Żeby się jednak o tym przekonać, trzeba było aż owych dwudziestu pięciu lat wielkiego pontyfikatu, który przecież obfitował i obfituje w słowo mówione i pisane, zdumiewające swym twórczym rozmachem i ciągle porywające miliony. Wszakże po lekturze **TRYPTYKU RZYMSKIEGO** odnośnie takie wrażenie, iż niewątpliwym ukoronowaniem tego pontyfikatu będzie właśnie ta niewielka książeczka, która z jednej strony jest klamrą poezji, wyraźnie spinającą okres krakowski z rzymskim, z drugiej zaś stanowi świadectwo zmagania tego Tytana myśli współczesnej i mistyki, który ostatecznie, w sposób jak najbardziej rozumiały, sięga do środków zdolnych wyrazić *niewyraźalne*.

Eugeniusz Zdanowicz

Jan Paweł II, TRYPTYK RZYMSKI, Kraków 2003, Wydawnictwo św. Stanisława BM

Powiernica Dzienniczków

Z s. Janiną Piekut (w klasztorze – **Marią Beatą**), wicepostulatorką procesu beatyfikacyjnego i kanonizacyjnego św. Siostry Faustyny Kowalskiej, rozmawiają **ks. Sylwester Łącki CSMA** i **ks. Ryszard Pietraski**

Kiedy rozpoczęła się przygoda Siostry z życiem zakonnym?

Do klasztoru wstąpiłam 26 kwietnia 1932 roku. W tym roku właśnie mija 71 lat życia zakonnego...

Więc Siostra osobiście mogła spotkać s. Faustynę Kowalską?

Siostrę Faustynę spotkałam dwa razy. Pierwszy raz, gdy byłam nowicjuską. U nas nowicjat trwa dwa lata, a ja wtedy mogłam być w nim około pół roku. Siedziałam w sali nowicjackiej, a starsza nowicjuszka pokazywała mi pewną robotkę do wykonania. Do sali weszły dwie siostry. Nie znałam ich. Z czystej ciekawości zapytałam nowicjuskę, czy zna te siostry. Wyjaśniła mi, że przyjechały odprawiać rekolekcje – to był koniec kwietnia – a po nich miały składać śluby wieczyste. Zaczęłam pytać dalej: – *Ile trzeba czekać na te śluby wieczyste?* – Tłumaczyła mi: – *Dwa lata nowicjatu, następnie pięć lat ślubów czasowych na rok i dopiero po pięciu latach składa się śluby wieczyste...* Ja, w swojej młodej głoweczce, szybko policzyłam: – *No, one są w Zgromadzeniu już prawie osiem lat, to pewnie już są święte i na pewno mają aureole. Tylko ja jestem jeszcze nie-święta i dlatego ich nie widzę...* – Tym bardziej więc się im przyglądałam.

Jedna z nich była bardzo ładna, przystojna, wysoka, szczupła, miała jasną twarz i wyraziste oczy. Wyglądała na zmęczoną. Miała do tego prawo, bo cała noc jechała, wraz z drugą siostrą, pociągami. Ta druga nie była tak piękna, ale brzydka również nie. Była taka normalna, jak każda z nas. Patrzyła w okno, będąc jednocześnie rozradowana i rozpromieniona – emanowało z niej piękno i wielkie szczęście. I tak sobie po-

myślałam, że *można być taką szczęśliwą tylko wtedy gdy widzi się Pana Jezusa*. Zapytałam więc o imiona siostr i dowiedziałam się, że ta rozpromieniona to siostra Faustyna. Wtedy się jeszcze o niej nie mówiło w Zgromadzeniu.

Moja mistrzyni nowicjatu była też mistrzynią s. Faustyny. Często wspominała Faustynę. Pamiętam, że w nowicjacie, a było to chyba przed Wielkanocą, wręczałyśmy sobie małe prezenciki z czekolady – ot, taka tradycja. Ja otrzymałam skrzypczki. Mistrzyni zapytała mnie, co wyciągnęłam? Pokazałam jej te czekoladowe skrzypczki. Ona się głośno roześmiała i powiedziała, że wyciągnęłam to samo, co kilka lat temu trafiło się siostrze Faustynie i zaczęła wspominać rozmowę między nimi. Bardzo się s. Faustynie te skrzypczki podobały: – *Patrz na te skrzypczki* – mówiła s. Faustyna – *i tak się zastanawiam: takie są ładne, a jak to trudno Panu Jezusowi, od rana do wieczora, wygrać piękną melodię na skrzypczkach naszej duszy...* – *Tak mi to powtórzyła i tak ja sobie zapamiętałam...* – Później wiele razy Mistrzyni wspominała Faustynę, ale wtedy nikt jeszcze nie mówił, że jest jakąś świętobliwą, nikt nie mówił o jej wizjach. To było moje pierwsze spotkanie z Faustyną, chociaż żeśmy ze sobą ani słowa nie zamieniły...

A drugie spotkanie?

Pod koniec 1935 roku, kiedy już byłam po pierwszych ślubach, Matka Generalna zabrała mnie z Krakowa do Warszawy. Tam pracowałam z dziećmi jako pomoc wychowawczyni. Któregoś dnia, w marcu 1936 roku, Matka Generalna mnie wezwała do siebie i oznajmiła mi, że mam na miesiąc pojechać do podwarszawskiego Walendowa.

Mamy tam piękny dom, w którym siostry miały prowadzić tzw. *kolonię karłą* – coś w rodzaju więzienia – dla dziewcząt, które pierwszy raz w życiu popadły w konflikt z prawem i musiały odbywać karę więzienia. Tym dziewczętom, aby ponownie nie weszły na drogę przestępczą, zorganizowano taki ośrodek pod opieką siostr Matki Bożej Miłosierdzia w Walendowie. Miałam tam pomagać siostrze w sprawach kancelaryjnych w początkowym okresie pracy. Nie zabrałam ze sobą wielu rzeczy, bo Matka Generalna obiecała mi, że na Święta Wielkanocne będę w Warszawie.

Rzadko chodziłam na wspólną rekreację z siostrami, ponieważ miałam bardzo dużo pracy. Któregoś dnia pojawiłam się na rekreacji. To był już Wielki Tydzień. Stałam przy oknie i snułam swoje tęskne marzenia, aby jak najszybciej wrócić do Warszawy. Chciałam wrócić w Wielki Czwartek, najpóźniej w Wielki Piątek, aby móc się przygotować do przeżywania Świąt Wielkanocnych. W tym czasie do sali weszły inne siostry. Nie wiedziałam, że jakiś czas po mnie do Walendowa przyjechała s. Faustyna. Chyba nawet się z nią nie przywitałam... Po chwili podeszła do mnie i zapytała:

– *Cemu siostra jest taka smutna?* – Popatrzyłam na nią i odpowiedziałam, że wcale nie jestem smutna. Nie dała za wygraną i kontynuowała:

– *Taka siostra zamyślona...* – Więc opowiedziałam jej o moim smartwieniu. A ona mi na to:

– *Musi się siostra pogodzić z wolą Bożą, bo siostra stąd nie wyjedzie.*

– *To znaczy, że tu umrę?* – Zapytałam zdumiona.

– *Chcę powiedzieć, że siostra Beata zostanie tu do ślubów wieczystych...*

– *To nie możliwe...* – odpowiedziałam.

– *Nie tylko do wieczystych, ale i nawet po wieczystych ślubach tu siostra będzie...*

– *To nie możliwe, bo już na święta mam być w Warszawie...* – Wtedy do rozmowy włączyła się siostra, która weszła do sali z Faustyną:

– *Siostra Faustyna też w Walendowie dłużej zostanie...*



– Nie, ja to szybko stąd wyjadę – odpowiedziała s. Faustyna, która rzeczywiście przyjechała tu z zamiarem stałego pobytu i pracy.

– No to już nie rozumiem – odpowiedziałam trochę zdziwiona. – Siostra tu przyjechała na stałe i szybko wyjedzie ode mnie, choć ja przyjechałam tu tylko na miesiąc?

– Bo, proszę siostry, to dla mojej duszy potrzebne... – powiedziała s. Faustyna.

– A skąd siostra wie, że dla mojej duszy nie jest to potrzebne? – zapytałam.

– Jak siostra będzie wierna Panu Jezusowi, to On wszystko siostrze wynagrodzi...

– W międzyczasie weszło do sali więcej sióstr, a ja miałam już dosyć tych proroczych s. Faustyny. Wykręciłam się na pięcie i poszłam od niej do innych sióstr. I już więcej nigdy z nią nie rozmawiałam.

Co wydarzyło się później?

Bardzo często ją obserwowałam, ponieważ już w Wielki Piątek Matka Generalna przysłała mi malutki bilecik, w którym została poinformowana, że nie może mnie odwołać, jak mi to obiecała, że przez święta mam pozostać w Walendowie, a kiedy przyjadę, to ona wszystko mi wytłumaczy...

W Warszawie Matka Generalna powiedziała, że pani komisarz, która dozorowała początki funkcjonowania placówki dla dziewcząt w naszym domu zakonnym, przedstawiła swoim przełożonym moją osobę do pracy z dziewczynami w Walendowie. Broniłam się, jak tylko mogłam, bo naczelnikiem więzienia nie chciałam zostać. Tłumaczyłam, że jestem dopiero profeską po ślubach czasowych, a to ważna funkcja itp., ale na nic zdały się moje prośby. Stało się, jak przepowiedziała s. Faustyna.

Jak Siostra przyjęła decyzję Matki Generalnej?

Jak to mnie dotarło, że nic w mojej sprawie nie da się zrobić, to strasznie się popłakałam. Pamiętam, że jedna z sióstr, tak dla poprawienia mi humoru, podeszła do mojego klęcznika, w którym płakałam, przyniosła ogromny gwóźdź, taki do łączenia grubych belek na dachu, i powiedziała, że chce przybić klęcznik do podłogi, bo popłynie od tych łez...

W Walendowie pracowałam prawie

przez 10 lat. S. Faustyna, po krótkim pobycie, z powodu choroby, musiała wyjechać do Krakowa.

W jaki sposób Siostra stała się powiernicą Dzienników św. s. Faustyny?

Kiedy zmarła siostra Faustyna (5 października 1938 r.), to ks. Michał Sopoćko, który znał wszystkie jej sekrety,

ujawnił, że ta siostra miała objawienia, że pisała dzienniczek. Ujawnił także, że przed śmiercią s. Faustyny – w 1937 roku – została wydana malutka broszurka z Koronką i Nowenną do Bożego Miłosierdzia. Ludzie już je znali i odmawiali, ale nie wiedzieli, skąd one pochodzą. Stało się to dopiero po śmierci s. Faustyny.

Początkowo Dzienniczki przechowywał ks. Sopoćko. Kiedy trafiły do Zgromadzenia?

Kiedy s. Faustyna była w już szpitalu w Krakowie, ks. Sopoćko, który przyjeżdżał do niej z Wilna, dowiedział się od chorej, że wola Bożą jest, aby Dzienniczki wróciły do Zgromadzenia... To wiem z jego ust. Ten Dzienniczek powstał dlatego, że ks. Sopoćko był spowiednikiem sióstr, a równocześnie pełnił wiele funkcji i musiał bardzo oszczędnie gospodarować czasem. Nie mógł więc sobie pozwolić na długie wysłuchiwanie przeżyć, natchnień i objawień s. Faustyny. Dał jej zeszyt i powiedział, że na spowiedzi ma wyznawać to, co uważa za grzech, natomiast wszystkie inne rzeczy ma spisywać w zeszyt... Obiecał jej, że wieczorami będzie czytał. Kiedy s. Faustyna poprosiła, aby Dzienniczki wróciły do Zgromadzenia, spotkała się z niechęcią ze strony ks. Sopoćko. On po prostu przechowywał



for G. Galazka

te Dzienniczki niczym jakiś skarb. Po kolejnej prośbie zreflektował się jednak i – nie chcąc sprzeciwić się woli Bożej – oddał je. Dzienniczki trafiły do Zgromadzenia i zostały złożone w archiwum. Początkowo nikt się nimi nie zajmował.

Kiedy się nimi zainteresowano?

Dopiero po śmierci s. Faustyny, kiedy ks. Sopoćko ogłosił, że czyną powstała Koronka i Nowenna do Miłosierdzia Bożego i kiedy wiele osób zaczęło naciskać, aby rozpocząć proces beatyfikacyjny s. Faustyny. Wtedy Matka Generalna wysłała mnie w tej sprawie do ks. kardynała Karola Wojtyły.

To był rok 1964. Pełniłam wówczas funkcję ekonomki generalnej. Ks. Kardynał wybierał się właśnie na sesję Soboru Watykańskiego II. Wcześniej Sto-lica Apostolska wydała notyfikację zabraniającą szerszenia kultu Miłosierdzia Bożego wg poleceń s. Faustyny, ponieważ w jej Dziennikach nie ma nic nadprzyrodzonego... I nic dziwnego, bo wtedy bardzo mało ludzi wiedziało o s. Faustynie. Później ks. Ignacy Różycki, po wnikliwej lekturze i analizie tekstów s. Faustyny udowodnił (ten dowód liczył 500 stron maszynopisu), że cały Dziennik s. Faustyny Kowalskiej to jedna wielka nadprzyrodzoneść. Wg niego nawet osoba ze średnim czy wyższym wykształ-

eniem nie byłaby w stanie wymyślić tego wszystkiego, co zawiera Dziennik...

Kiedy pojawiłam się u ks. kardynała Karola Wojtyły, ten powiedział mi, że już wiele środowisk bombarduje go, aby rozpoczął ten proces. Tylko, że on tak niewiele wie o s. Faustynie Kowalskiej. Nakazał mi, abym na następny dzień dostarczyła bodaj krótki jej życiorys. Ponieważ nikt wcześniej takowego życiorysu nie wymagał, z ogromnymi trudnościami udało mi się go sporządzić i na godz. 9.00 rano udałam się z nim do ks. Kardynała. Ten spojrział na tych kilka kartek, potem na mnie – widać było, że spodziewał się czegoś więcej. Jednak nic przykrego mi nie powiedział. Przejrzał go pobieżnie, ciężko sobie westchnął i schował do tecki. Chwilę potem wyjechał do Rzymu.

Jednak najlepsze wydarzyło się, kiedy Kardynał wrócił. Z zarządzenia Prymasa Polski kard. Stefana Wyszyńskiego raz w miesiącu odbywały się spotkania wszystkich przełożonych zakonnych lokalnych z ordynariuszem. Ich celem było informowanie o tym, co dzieje się w Kościele zarówno w kraju, jak i na świecie. Podczas takiego właśnie spotkania kard. Wojtyła ogłosił nam wspólną wiadomość: Przewodniczący Świętego Officium nie tylko mi pozwała, lecz także nakazuje rozpocząć proces beatyfikacyjny s. Faustyny Kowalskiej! Powiedział mi, że najpierw powinniśmy zacząć od procesu beatyfikacyjnego s. Faustyny, a nie od szerszenia kultu Bożego Miłosierdzia wg jej wskazań: – Zaczęliście od ogona i dlatego ukazała się ta notyfikacja zabraniająca, a tak wszystko byłoby bez zastrzeżeń...

Przy najbliższym spotkaniu zapytał mnie: – Czy to siostra będzie się zajmowała procesem beatyfikacyjnym? – Odpowiedziałam mu: – Nie wiem. Pełniłam wtedy funkcję ekonomki generalnej, więc nie mogłam pozwolić sobie na dodatkowe obowiązki. A kard. Wojtyła zapytał: – Co jest ważniejsze?!

Z tym pytaniem i wątpliwościami w sercu udałam się do Matki Generalnej. W Warszawie Matka Generalna stwierdziła, że skoro tak się sprawy mają, to powinienem się tym zająć. I tym

sposobem w sprawie s. Faustyny i kultu Miłosierdzia Bożego moimi bezpośrednimi przełożonymi stali się ks. Kardynał i Kongregacja Do Spraw Świętych.

Wtedy właśnie do moich rąk trafiły Dzienniczki s. Faustyny Kowalskiej. Po pokonaniu wielu trudności zostałam wicepostulatorem procesu beatyfikacyjnego s. Faustyny Kowalskiej i jestem odpowiedzialna za oryginały Dzienników do dziś.

Czy roztawała się Siostra z Dziennikami na dłuższy czas?

W czasie procesu beatyfikacyjnego Kongregacja zażądała, aby dwóch teologów, niezależnie od siebie, wydało opinię na temat tychże Dzienników. Ks. kardynał Wojtyła sprawił, że jednym z nich był ks. Ignacy Różycki. Teologowie korzystali z kopii sporządzonej przeze mnie. Podczas lektury Dzienników zrodziły się u ks. Różyckiego wątpliwości, czy ja dokładnie go przepisałam, bo to niemożliwe, żeby dziewczyna, która ukończyła trzy oddziały szkoły podstawowej, coś takiego i tak ładnie to wymyśliła... – uważał. Zażądał więc, żebym mu przywozła oryginał. Poszłam do Kardynała, aby mu powiedzieć o żądaniu ks. Różyckiego. A On mi tak odpowiedział: – Niech siostra powie profesorowi, żeby się sam pofatygował i przyjechał do Łagiewnik. – Wyrzuciłam swoje wątpliwości, że on jest profesorem i nie wiadomo czy mnie posłucha? – Musi posłuchać! Ja siostrze nie pozwałam – kontynuował kard. Wojtyła. – Wyobraźmy sobie: siostra będzie jechała tramwajem, tramwaj się wykołoi, siostra zginie, ale mniejsza o to, bo i tak pójdzie do nieba, ale Dzienniczek zginie! Niech ks. profesor przyjedzie do Łagiewnik i niech bada na miejscu! – Więc ja tak powiedziałam profesorowi, no i musiał przyjechać.

A obowiązek dbania o Dzienniczki św. s. Faustyny spoczywa na mnie po dziś dzień.

Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiali:
ks. Sylwester Łącki CSMA
i ks. Ryszard Pietrasik

Infantylnizm

Dorosłość oznacza odpowiedzialność. Ponad siły jednak wydaje się przyjęcie odpowiedzialności w świecie pozabawionym pewników i zakotwiczeń. Żyjemy więc w epoce infantylnizacji, która jest ucieczką przed ryzykiem. Starożytny podział życia na fazę wzrostu (młodość) i fazę schyłku (starość) jest nam zupełnie obcy. W istocie tamten obraz dotyczył życia, którego ambicją była dojrzała siła, szczyt życia między trzydziestką a pięćdziesiątką.

Odkrycie dzieciństwa i przedłużonej młodości jest dziełem ostatniego stulecia. Kult wiecznej młodości stał się kultem wiecznej niedojrzałości. Kult ten z autoironią wystawił na widok gawiedzi Witold Gombrowicz. Tymczasem podstawą wszelkiej więzi i integralnie przeżywanego trudu życia jest dojrzałość ludzka, od dawna przemilczana w literaturze, filmie i mediach. Ludzie ją osiągają na drodze wychowania i poprzez doświadczenia życia. Dojrzałość ludzka rodzi się zarówno w życiu naznaczonym trudem bez Boga, jak i na drodze kenozycji chrześcijańskiej, której wzorem jest Chrystus i Jego Rodzina. Akceptacja oderwania od dóbr i uczuć jest początkiem dojrzałości, a przecież nie jest ona zarezerwowana dla chrześcijan. Ideolodzy kontrkultury i Nowej Ery na swój sposób dążą do ludzkiej dojrzałości i sprzeciwiają się infantylnizmowi rozpowszechnionemu w bogatym świecie Zachodu.

Infantylnizm współczesnych ludzi Zachodu różni się znacznie od infantylnizmu rozpowszechnionego wcześniej. Obecny infantylnizm jest nastawiony na konsumpcję, luksus i przyjemność, ponieważ to właśnie jest dostępne. Dawny infantylnizm wynikał z narzuconego z zewnątrz niewolniczego niemal trudu, który uniemożliwiał naukę i praktykowanie własnej godności i wolności. Infantylnizm osiemnastowiecznego wieśniaka zbliżał go do bydła w jarmie. Infantylnizm mieszczaucha XXI w. zbliża go do luksusowego psa myśliwskiego u bogatego pana.

MM

Do ulubionej przez media ornamentyki wielkanocnej należą: jajko, żółciutki kurczak i kolorowy zając. Pojawia się również, choć bardzo rzadko, baranek. Jest on jednak znacznie mniej *modny wśród marketingowców*. Obecne na kartkach świątecznych, wszelkiego rodzaju wyrobach spożywczych, a nawet na promocjach sprzętu elektronicznego zwierzaki swoim wyglądem wielokrotnie odbierają Wydarzeniu Paschalnemu głębooki wyraz religijny, powagę i dostojność. Często wręcz atakują potencjalnego klienta kiczem. Elementy te, zazwyczaj wkomponowane dodatkowo w rozkwitające gałązki wierzby zwane *baziami*, nijak się mają do głębokiej symboliki chrześcijańskiej. Niewielu twórców i odbiorców przekazu tych nowoczesnych emblematów kurczako- i zajęcopodobnych pamięta pierwotną, chrześcijańską symbolikę związaną z Uroczystością Zmartwychwstania Pańskiego. Świąteczne kartki z wizerunkiem Jezusa Chrystusa coraz częściej pozostawiają wiele do życzenia także w swojej warstwie estetycznej. Czyżby następował proces *dezynfekcji religijnych symboli*?

Wielkanoc

Monika Przybysz

Cenna uwaga

Sprzedawcy nie mają wyboru – muszą się przebić ze swoją ofertą przez konkurencję. Aby być zauważonym, trzeba czymś odbiorcę zadziwić, zaskoczyć... Uwaga potencjalnego klienta staje się dziś *produktem* na wagę złota, umożliwia bowiem dalszy proces perswazji. W dobie kilkudziesięciu, czy kilkuset wytwórców jednego asortymentu bycie zauważonym jest niezwykle ważne. Spece od reklamy pracują nad tym intensywnie. Stąd próby szukania rozwiązań wizualnych, będących w stanie przykuć choć na chwilę zmęczone nadmiarem kiczu oko odbiorcy. Nie jest więc *na topie* używanie symbolu zmartwychwstałego Chrystusa, bo to za *poważne i mało atrakcyjne, powszednie czy wręcz nudne i oklepane*. Dużo bardziej medialna byłaby zapewne na przykład *Ostatnia Wieczerza*, w której miejsce Chrystusa oddano Marilyn Monroe. *Nota bene* za odmowę prowadzenia lekcji w klasie *ozdobionej* taką właśnie parodią słynnego obrazu Leonarda da Vinci, wczesną wiosną 1997 roku w stanie Massachusetts został wyrzucony z pracy nauczyciel.

Jajeczko

Symbol i znaki bajkowego świata komercyjnie przedświątecznej wielokrotnie wykorzystywane są w przekazach tak, jakby były wyciągane z wielkiej szuflady w sposób zupełnie dowolny, a następ-

nie układane w kombinacje ograniczane już tylko pomysłowością i wyobraźnią *twórcy*. Jajko wielkanocne – znak nowego, odradzającego się życia, symbol powstałego z martwych Chrystusa – staje się w świecie komercji po prostu śliczną pisanką, malowaną, kraszanką lub wyklejanką. Nie jest to związane z żadną głębszą refleksją nad powiązaniem symbolu z obchodzoną uroczystością. Często również tzw. *jajeczko*, czyli przedświąteczne spotkanie pracowników, w niektórych zakładach pracy sprowadza się jedynie do wspólnej popijawy, okraszonej dla niepoznaki kawalkami *zarodków kurzych*.

Przesada

Zasadniczy problem tkwi w przesadzie. Zaczyna się ona wówczas, gdy świąteczna komercyjna machina, uruchomiona dla zarobienia większych pieniędzy na wszystkim, *na czym się tylko da*, czyli niejednokrotnie na rzeczach zupełnie nie związanych z Wielkanocą, powstaje jako byt sam w sobie. Kiedy ludzie stają się bezkształtną masą biegającą za promocyjną karmą, gdy kolorowy bałagan zastępuje święta, sprowadzone do wielkich porządków, zakupów i szykowania kilkudniowego obżarstwa, a bogaty świat symboliki Triduum i Uroczystości Zmartwychwstania Pańskiego spłycony zostaje do święta triumfalizmu telewizora, to wtedy następuje przewartościowanie. *Profanum* zasiada dumnie

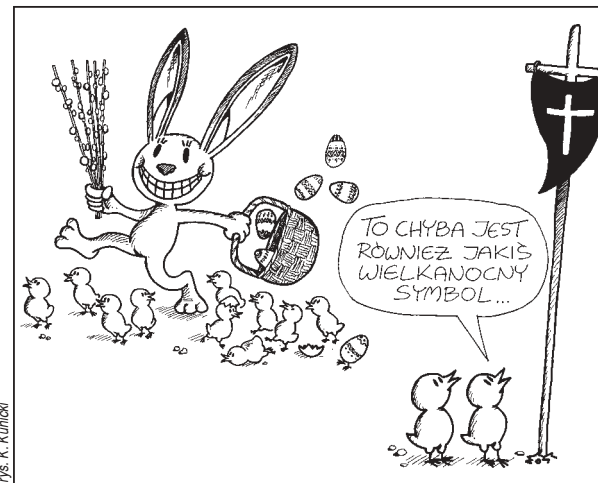
na tronie *sacrum*, a religia świata konsumpcji opanowuje nasze życie duchowe. Wyludniają się świątynie, a napełniają markety, place targowe, wszelkiego rodzaju sklepy i sklepiki. Pustoszeje serce ludzkie i kieszenie...

Znak

Próba powrotu choćby do cząstkowej równowagi w sferze symboliki Wielkanocnej może się dokonać w refleksji nad Krzyżem. Chrześcijanie od początku byli przeświadczeni, że Krzyż wyraża istotę ich religii. Ten drewniany przedmiot, który przeszedł od Scytów i Asyryjczyków przez Persów do Kartagińczyków, a po pierwszej wojnie punickiej do Rzymian, stosowany był wobec nie-Rzymian i niewolników w celu wykonywania kary śmierci. Została ona zniesiona dopiero przez cesarza Konstantyna Wielkiego. Symbolem i przedmiotem kultu Krzyż stał się przez mękę i śmierć Jezusa Chrystusa, która się na nim dokonała. W perspektywie Krzyża Chrystusowego ludzki los nabrał sensu i to, co niewytłumaczalne, stało się przynajmniej w części zrozumiałe. Pozostaje on niezmiennie niezwykłym wyrazem prawdy o Bogu i człowieku. Jest to przecież także znak zwycięstwa nad złem, okrucieństwem, obojętnością, słabością...

Umniejszanie

Krzyż to znak wiarygodności chrześcijańskiej – jeden z najlepiej rozpoznawanych symboli na świecie. Dla wielu ludzi stał się on jednak zwykłym, prostopadłym zestawieniem dwóch belek, nie budzącym głębszej refleksji ozdobnikiem, elementem drażniącym, a czasem rodzącym nawet sprzeciw. *Krzyż!*



rys. K. Kuniński

Nurt antychrześcijański pragnie umniejszyć jego wartość i pozbawić go znaczenia, zaprzeczając prawdzie, że w nim zakorzenione jest nowe życie człowieka i utrzymując, że Krzyż nie stwarza żadnych perspektyw i nie daje nadziei: twierdzi, że człowiek jest tylko ziemską istotą, która powinna żyć tak, jak gdyby Bóg nie istniał (encyklika Jana Pawła II *Ut unum sint*, Rzym 1995, 1).

Obecność

Świat walczył z Krzyżem już od początku chrześcijaństwa. Już wtedy stał się on *zgorzeniem dla Żydów, a głupstwem dla pogan* (I Kor 1,22-23), obiektem kpin, a nawet prześladowań wyznawców Chrystusa. Święty Paweł natomiast tak pisał do Galatów: *Co do mnie, nie daj Boże, bym się miał chlubić z czego innego, jak tylko z krzyża Pana naszego Jezusa Chrystusa* (6,14). Te słowa zwracają uwagę na doniosłość Krzyża w życiu chrześcijanina. Często jednak symbol ten jest obecny w życiu codziennym, lecz zupełnie jakby *przy-padkowo*: z tradycji, chowany skrętnie w rogu półki, szufladzie, pod koszulą lub całkowicie zastępowany przez wisioriki religii wschodu albo znaki zodiaku... Wreszcie, jako niedbały gest przy-

rozpoczęciu modlitwy czy wejściu do kościoła. Brak właściwej czci należnej Krzyżowi tłumaczymy brakiem czasu i szybkością życia, rutyną, zapomnieniem, niedbalstwem.

Przez Krzyż...

Siostry w Laskach pod Warszawą pozdrawiają się każdego dnia nawzajem słowami: *Przez Krzyż...* W odpowiedzi, kończąc dialog słowami: *...do nieba* – zamiast tradycyjnego *Szczęść Boże*. Wystarczy pobyć tam kilka godzin, aby zacząć przywiązywać większą uwagę do wykonywanych gestów i wypowiedzianych słów. Krzyż jest tam obecny w myślach, mowie i w czynkach. Jest adorowany w zwykłej szarej codzienności.

Wielki Piątek to dzień szczególny. Podczas adoracji Krzyża Świętego, będąc w stanie łaski uświęcającej, mo-

żemy uzyskać odpust zupełny, a więc darowanie kar doczesnych za grzechy. Wystarczy z szacunkiem i świadomie przyjąć dar uwielbienia Jezusa Chrystusa w Jego męce i śmierci na drzewie Krzyża... Krzyż – symbol zwycięstwa nad tym, co najgorsze, dzięki Bożej mocy uświęcone narzędzie haniebnej zbrodni na Niewinnym. Znak przemiany łotra i odnalezienia drogi do Nieba... Tak wiele treści w dwóch prostych belkach, złożonych prostopadłe.

Co się ostanie?

Być może nie ostanie się nic ze świątecznej symboliki chrześcijańskiej. Jednak Krzyż jest z Wielkanocą nierozdzielnie związany, a ponadto stanowi również o istocie chrześcijaństwa. Dlatego warto podjąć trud walki o jego obecność w naszym życiu. Proces dechrystianizacji przestrzeni publicznej człowieka nabrał bowiem – dzięki mediom – coraz bardziej szalonego tempa. Usuwanie znaków religijnych w środkach przekazu uzasadnia się najczęściej potrzebą dostosowania tej przestrzeni do światopoglądowego pluralizmu współczesnych społeczeństw. W imię politycznej poprawności (political correctness), a więc ukrytego narzucania przez środowiska liberalno-ateistyczne pewnej *jedynie słusznej* postawy wobec rzeczywistości, formowania świadomości wolnej od chrześcijańskiej hierarchii wartości i szufladkowania ich całościowych tych wszystkich, którzy osmielają się mieć inne spojrzenie. Niedługo będziemy pewnie obchodzić Święta Wielkanocne pod znakiem zająca, kurczaka, albo – Pan Bóg Jeden wie – czego jeszcze. Daj Boże, aby to jednak nie nastąpiło. ■

Intencje II Krucjaty Modlitwy za Ojczyznę

Maj – Za sprawujących władzę w Polsce, aby w swych decyzjach i działaniach kierowali się troską o dobro wspólne Rodaków.
Czerwiec – O podjęcie wysiłku budowania jedności w Europie w oparciu o wartości chrześcijańskie.
Lipiec – Za wolontariuszy, którzy pomagają w różnorodnych dziełach charytatywnych, aby poprzez ich świadectwo powiększał się krąg osób bardziej zainteresowanych służących bliżnim.

Sierpień – O wywołanie naszego życia społecznego z korupcji.
Wrzesień – Za nauczycieli i wychowawców, aby oprócz przekazywanej wiedzy, rozwijali w dzieciach i młodzieży troskę o najuboższych.
Październik – Dziękując Bogu za 25-lecie posługi Ojca Świętego modlimy się o zdrowie i łaski Ducha Świętego na dalszą Jego posługę Kościołowi w Świecie i w Polsce.
(Ogólnopolska Rada Ruchów Katolickich)

Piotr Skórzyński

Sprawiedliwość jak chleb

W naszej współczesnej kulturze uderzający jest brak słowa, które w XIX wieku stworzyło ideę socjalizmu, a w XX pomogło ocalić ją mimo wszystkich jego porażek. Tym słowem jest **sprawiedliwość**.

W naszej agnostycznej epoce wypada przypomnieć, że sprawiedliwość jest jedną z cnót kardynalnych, obok miłości, siły, męstwa i umiarkowania. Naturalnie, trzeba stwierdzić, że samo słowo *cnota* znacznie wcześniej zostało wykreślone ze słowników. Ale właśnie sprawiedliwość miała je zastąpić. Intelektualiści, którzy przez ostatnie 200 lat w większości wspierali lewicę, ogłosili, iż w *miejsce niesprawiedliwego i, na szczęście, nie istniejącego Boga* mają zniekanę ludzkości coś lepszego do zaproponowania: **sprawiedliwość społeczną**, jaką – po Rewolucji – zaczęli wymierzać proletariaci.

Revolucja komunistyczna okazała się jednak iście diabelską karykaturą tej sprawiedliwości (co zresztą, trzeba mu to oddać, przewidział Bakunin). Gdy reżimy komunistyczne rozsypały się, powstała sytuacja, której nikt z dawnych filozofów nie przewidział: oto należało teraz poddać sprawiedliwości tych, którzy dzierżyli władzę pod jej sztandarem.

Tymczasem jednak okazało się, że istnieją struktury nowej władzy chętne do wymierzenia tej sprawiedliwości. Marksizm, który utrzymywał, że system prawny jest jedynie odbiciem polityki, okazał się samosprawdzającą prognozą w odniesieniu do ustroju zaprojektowanego zgodnie z jego wytycznymi. Im wcześniej i łatwiej komuniści oddawali władzę polityczną, tym bardziej akksamitna była ewolucja w kierunku pełnej demokracji i państwa prawa.

Czesław Miłosz, w wywiadzie dla

Newsweeka z 6 czerwca 1983 r., stwierdził: *Dla mnie podstawowa różnica między społeczeństwami polega na tym, że my, ludzie Wschodu, wierzymy w prymitywne pojęcia dobra i zła. Obejmują one oczywiście nasze doświadczenie komunizmu i nazizmu, których nie można rozdzielić. Wierzymy w dobro i zło, kropka.*

Jest zasadnym pytanie: ilu ludzi zna dziś tak prosto przedstawioną moralność? Od ponad dwóch stuleci intelektualiści relatywizują pojęcia moralne. Można powiedzieć, że kultura dwudziestowieczna to w jakimś sensie wynik sprzeciwu wobec kultury wiktoriańskiej.

Dzieje ludzkości nie znały dotąd cywilizacji ateistycznej... nawet jeśli upierać się, że na razie zasługuje ona bardziej na miano *kultury*. Dlatego – jeśli pominąć nielicznych wołających na puszczy – filozofowie nie przewidzieli pojawienia się totalitaryzmu. Lepiej wypadli pisarze: ale **Biesy** Dostojewskiego, przy całym swoim niesamowitym profetyzmie, są jednak tak poplątane w swej warstwie intelektualnej, że nie spełniły funkcji dzwonu ostrzegawczego. Stało się to za sprawą radykalizmu pisarza, który jednak nie umiał przekonująco zobrazować swojej przenikliwej intuicji. Dostrzegł on bowiem, że postawa ateisty to, pod względem psychologicznym, postawa przestępcy. W sensie psychologicznym decydują o tym oni – często podświadomie – na rozbrat z prawem, bo uważają, że *świat nie jest sprawiedliwy*.

Jest to także doświadczenie ateisty. Boga nie ma, bo przecież nie pozwoliby na to wszystko. Tak więc zarówno ateista, jak i przestępca są pewni, że w przeciwieństwie do mięczaków, oni

są w stanie spojrzeć prawdzie w oczy. Chodzi właśnie o to, że ateizm, tak jak przestępstwo, pozwala poczuć się mocnym i twardym także zupełnym nieudacznikiem: ludziom, nad którymi należałoby się litować, gdyby nie ich stanowcza, nierzadko pogardliwa postawa wobec świata. Filmy kryminalne mają tak wielkie powodzenie, bo pokazują zera, które tylko dzięki wyborowi mentalnemu stają się kimś: nie potrzebują do tego żadnej wiedzy ani zdolności, wystarczy im pistolet.

Podobnie jest z materializmem. Ponieważ nie ma Boga, bogiem jest każdy – czyż nie to ma nam do powiedzenia nowoczesny ateizm? Jak dowiedziono, Nietzsche znał książki Dostojewskiego. Jeszcze lepiej jednak znał dzieła Artura Schopenhauera, który napisał: *Jeśli to Bóg stworzył ten świat, ja nie chciałbym być Bogiem. Jego ból rozdarłby mi serce.*

Wiek XX ukazał nam, jak działa świat bez moralności. Ale bez Nietzschego 95 proc. dzisiejszej filozofii i antropologii nie ma sensu, toteż ogromna większość intelektualistów zajmuje się wykazywaniem, że niemiecki immoralista *nie to miał na myśli*.

W wieku XIX powstała wyjątkowo toksyczna trucizna: połączenie humanizmu z utopijnością. Z jednej strony bohater Dostojewskiego mówi, iż iza jednego dziecka unieważnia cały świat – z drugiej heglłsi i marksisci tworzą wizję raję zbudowanego przez użycie bezlitosnej przemocy. Nietzsche wyciąga z tego wniosek, że normy moralne nie istnieją. Bohater dziejowy więc, jak go się nazywa w heglłzynie – w tym wypadku Hitler – może istnienie tego świata zakwestionować. A stąd już tylko mały krok do nowoczesnego solipsyzmu, jakim jest postmodernizm. Nie jest przypadkiem, że ojcowie postmodernizmu, tacy jak de Man czy Heidegger, byli dość długo członkami NSDAP. Ale sposób, w jaki odrzucają moralność *burżuazyjną* czyli chrześcijańską, jest identyczny z tym u Lenina. Ten ostatni napisał: *Są dwie praworządności – praworządność formalna i praworządność zmięrzająca ku wielkim celom rewolucji...*

Społgłdając na dzisiejszą intelektualną nędcę epigonów egzystencjalizmu, pamiętać jednak trzeba, że te żalonne chwasty wyrosły na glebie, którą przeorały wielkie umysły. Bunt Nietzschego i Camusa wyrastał z autentycznej niezgody na świat, w którym panuje zło. Zaś ateizm tego ostatniego był szczególnym, skoro w *Człowieku zbutowanym* znajdujemy następujący passus: – *Od kiedy człowiek poddaje Boga osłdowi moralnemu, zabija go w sobie. Lecz jaka jest wówczas zasada moralności? Neguje się Boga w imię sprawiedliwości, ale czy idea sprawiedliwości może być pojmowana bez idei Boga? Czy nie popadamy wówczas w absurd? (...)*

Jest jednak jeszcze inna sprawa; o tyle istotniejsza, iż dotyczy wszystkich obywateli. Otóż jeśli historia jest – jak brzmi starodawna sentencja – *nauczycielką życia*, to polityka jest jego kursem przyspieszonym. To, co robią i mówią osoby publiczne, jest obserwowane przez młodych ludzi – i zwykle naśladowane. Jednym z wniosków, jakie płyną z tej obserwacji, może być ten, że skoro sprawiedliwość nie obowiązuje w jednym obszarze życia publicznego – to być może nie istnieje też w innych.

Najwyraźniejszym rezultatem tej sytuacji jest utrzymujące się przekonanie, że polityczne i gospodarcze struktury III RP są tworzone przez układy *nośne* z PRL. Potwierdza to także personalny skład najbardziej wpływowych ludzi w państwie. Wielekroć tłumaczono, iż spokój społeczny wymaga powstrzymania się od wydawania sądów na temat przeszłości.

Klimat społeczny jest pod tym względem podobny do klimatu, czyli zespołu zjawisk i procesów atmosferycznych. Kształtują go bardzo różne czynniki. Podkreślając je, można stracić z oczu inne – dlatego socjologia wciąż daleka jest od zdolności przewidzenia procesów społeczno-politycznych. Można jednak uzyskać pewność co do jednej sprawy: nie jest możliwa doskonała izolacja od otoczenia. Polski establishment zdaje się dziś być przekonany, że patologie społeczne go nie dosięgną; strzeżone osiedla, nierzadko

firma ochroniarska, zagraniczne konto – to wszystko ma za zapewnić bezpieczeństwo tzw. *elicie*.

To jednak złudzenie. Przekonało się o tym w przeszłości wiele warstw uprzywilejowanych... i jeśli naszej potrzebna jest nowa lekcja, na pewno zostanie udzielona. Przemoc, kradzieże, oszustwa, kłamstwa nie biorą się znikąd i nie znikają na widok drogiego garnituru czy wieczorowej sukni. Społeczeństwo, które poddane zostało postępującej anomii, to znaczy zanikowi więzi społecznych, erozji tradycji, zwątpieniu w wymiar sprawiedliwości – stanie się niesterowalne. **Samoobrona** ma dziś 15 proc. poparcia, ale jutro może mieć 20 proc., a pojutrze... Poczucie braku sprawiedliwości, paraliżu sądów, prawa sprzyjającego przestępcom i *last but not least*, amnezji historycznej: to wszystko już zaowocowało alarmującym raportem Banku Światowego, który stwierdził (choć w zaowalowanej formie), że Polska bliżej jest do Trzeciego Świata niż do Pierwszego.

Św. Tomasz w **Summie teologicznej** dokonuje zastanawiającej interpretacji cnoty sprawiedliwości – uznając, że zawiera ona nie tylko wdzięczność, ale także uprzejmość, szczerłość i szczerłość. Jeśli więc wyrzekamy się sprawie-

liwości, pozbawiamy się tym samym także tych cech. Położył tym samym podwaliny pod etykę rycerską, której ideał przyświecał Zachodowi aż do XX wieku. Św. Tomasz rozróżniał prawo i cnotę. Pisze wyraźnie, że czyny dobre nie są równoznaczne z tym, co przewidziane lub dopuszczane przez prawo: są to dwa porządki etyczne. Prawo ludzkie nie zawsze pokrywa się z prawem Boskim – choćby dlatego że tego drugiego człowiek nie jest w stanie w pełni ogarnąć. **Niesłuszne prawo w ogóle nie jest prawem** – napisał i tym samym wytyczył drogę nadziei dla wszystkich wydziedziczonych i prześladowanych. Od tego zdania zaczyna się historia Zachodu jako fenomenu nieznanego w żadnym innym kręgu kulturowym: świata, w którym każdy ma prawo upomnieć się o sprawiedliwość, pomimo wszelkich tam i barier, jakie stawiają na jego drodze uprzywilejowani.

Fakt, że sprawiedliwość ludzka jest ułomna, nie może być argumentem za tym, by jej poniechać; gdyż miłosierdzie jest sztuką równie trudną jak ziszczanie. Każdy przecież potrafi rzucić monetę zbrakowi – ale tylko święci są w stanie sprawić, by podniósł się on z poniżenia. ■



for. P. Zyczeński

AKTUALNOŚCI NIECO OMSZAŁE

Wokół dyskusji o integracji

W dyskusjach na temat integracji europejskiej zauważa się ciekawe zjawisko: dawni euroentuzjaści i eurosceptycy dziś nazywają siebie eurorealistami, co bynajmniej nie oznacza zbliżenia tych dwóch stanowisk. Widać to doskonale w komentarzach do wypowiedzi Ojca Świętego na temat. Co Jan Paweł II mówi, każdy słyszy – tyle że przeciwnicy i zwolennicy integracji europejskiej słyszą coś zupełnie innego. Byłoby to nawet zabawne, gdyby nie było nieprawdę.

Co powiedział Ojciec Święty na Balicach w 2002 roku? – *Mam nadzieję, że pielęgnując te wartości, społeczeństwo polskie – które od wieków przynależy do Europy – znajdzie właściwe sobie miejsce w strukturach Wspólnoty Europejskiej i nie tylko nie zatraci własnej tożsamości, ale ubogaci swą tradycję ten kontynent i cały świat...*

Czy Jan Paweł II miał na myśli jakieś inne struktury *Unii Europejskiej*? Czy dokonano manipulacji, tłumacząc na angielski: *European Union*? Pewnie można byłoby stawiać takie i podobne pytania, gdyby była to jedyna wypowiedź Ojca Świętego w tej sprawie. Tymczasem w czasie wizyty w polskim parlamencie Ojciec Święty mówił: – *Polska ma pełne prawo, aby uczestniczyć w ogólnym procesie postępu i rozwoju świata, zwłaszcza Europy. Integracja Polski z Unią Europejską jest od samego początku wspierana przez Stolicę Apostolską* (Warszawa, 11.06.1999 r.). Myślę, że warto przytoczyć i poniższe wypowiedzi: – *Stolica Apostolska patrzy z zadowoleniem na plany rozszerzenia Unii, które powinno umożliwić stopniowe przywrócenie jedności kontynentu europejskiego...* (do ambasadora

Węgier, 24.10.2002 r.); *Jestem pewien, że bliskie już przystąpienie pańskiego kraju do Unii Europejskiej przyniesie korzyść nie tylko Słowacji, lecz także przyczyni się do dobrobytu i stabilności całego kontynentu...* (do prezydenta Słowacji, 28.10.2002 r.). Czyżby Ojciec Święty *patrzył z zadowoleniem* jedynie na plany włączenia do UE naszych sąsiadów?

Zgadzam się więc całkowicie z komentarzem pewnej parafianki: – *Papież nie namawia nas do przystąpienia do Wspólnoty Europejskiej. On jest pewny, że my będziemy w tej wspólnej Europie i tylko ma nadzieję, że znajdziemy sobie w niej właściwe miejsce, by nie zatracając swojej tożsamości, wzbogacić Europę. Koniec, kropka.* – I zgadzam się, że wykorzystywanie słów Ojca Świętego do uzasadnienia własnych poglądów to przynajmniej wielki nietakt (za oceną ks. Marka Stepniaka).

Ojciec Święty ma, oczywiście, określona wizję zjednoczonej Europy: – *Nową jedność Europy (jeżeli chcemy, by była ona trwała) winniśmy budować na tych duchowych wartościach, które ją kiedyś ukształtowały, z uwzględnieniem bogactwa i różnorodności kultur, i tradycji poszczególnych narodów. Ma to być bowiem wielka Europejska Wspólnota Ducha* (Warszawa, 11.06.1999 r.). I ma wizję miejsca Polski w Europie: – *Stając się członkiem Wspólnoty Europejskiej, Rzeczpospolita Polska nie może tracić niczego ze swych dóbr materialnych i duchowych, których za cenę krwi broniły pokolenia naszych przodków. W obronie tych wartości Kościół pragnie być partnerem i sojusznikiem rządzących naszym krajem* (do ambasadora Polski, 03.12.2001 r.).

Zauważmy, że w tych słowach Ojciec Święty postrzega i przestrzega Polskę jako przyszłego członka UE, a nie kraj, który do niej nie przystąpi! I tak jak wielu zwolenników (i przeciwników?) integracji – Ojciec Święty spodziewa się, że rządzący naszym krajem zadbać o właściwe, korzystne warunki integracji, bo do nich nie należy! **Czy jednak rządzący zadbają?**

Rządzący dbają nade wszystko o propagandę, która drażni i mierzi. W niej chętnie posługują się autorytetem Ojca Świętego i aż chciałoby się zapytać: czy w dyskusji o aborcji, eutanazji czy związkach homoseksualnych ci sami dziennikarze z podobnym zapalem odwołują się do nauczania Ojca Świętego!? Paradoksalnie, Ojciec Święty jest dla wielu autorytetem w kwestiach politycznych, nie jest autorytetem w kwestiach moralnych... Tak więc Monika Olejnik, raz po raz, atakuje rozmówcę z *Ligi Polskich Rodzin* kwestią: – *A przecież Papież...* – A rozmówca? Rozmówca udaje, że nie dosłyszał, zmienia temat, stosuje uniki, zamiast powiedzieć: – *Poparcie dla zjednoczenia nie jest dogmatem wiary, który obowiązuje katolika w sumieniu. Ja nie jestem gorszym katolikiem przez to, że mam poważne wątpliwości dotyczące procesu zjednoczenia...* Tylko tyle! A chyba żaden katolicki polityk nie odważył się na takie stwierdzenie. Dlaczego?

Dyskusja, jeśli już się toczy, to miast na poziomie faktów – toczy się na poziomie emocji i epitetów: – *U przeciwnika chętnie widzi się rogi i wyrastającą ogon...* Mam wrażenie, iż z jednej i z drugiej strony ideologia i propaganda biorą górę nad rzeczywistością – mówił ks. bp Kiernikowski. W składną ciekawym, wywiadzie ks. bpa Pieronka dla *Gazety Krakowskiej* (Zaklinanie proboszcza, 18-19.01.2003 r.) pojawiają się określenia: *syndrom wioskowości naszego katolicyzmu, prostacka propaganda antyunijna, dotarcie do nawiedzonych będzie bardzo trudne...* Gdy czytałem tekst, nie zwróciłem uwagi na te określenia. Zaś inna osoba – przeciwniczka integracji – od tych określeń zaczęła i na nich zakończyła lekturę tek-

stu. Co jest symptomatyczne...

Chętnie siega się więc po określenia pejoratywne, a cytuje jedynie opinie wygodne. W *Naszym Dzienniku* (07.02.2003 r.) znajdujemy tekst pod znanym tytułem: *Zniewolone myśli* (dotyczy zapewne zwolenników integracji?). Autor zacytował cenną wypowiedź ks. bpa Dydycza: – *Możemy mieć żal do tych, którzy ludzi patrzących krytycznie na Unię natychmiast nazwali ciemnogrodem, sobie przypisując monopol na postępowanie, jak to już przerabialiśmy w PRL-u...* Patrząc krytycznie nie oznacza automatycznie być przeciwnikiem. Zauważmy, że tylko krytyczne spojrzenie może wnieść coś pozytywnego do projektowanej jedności. Nie po to zresztą wywalczyliśmy wolność, by nasze myślenie poddawać pod nową niewolę. W tym miejscu autor kazał pójść po rozum do głowy tym, do których te słowa były skierowane. I proszę bardzo, nie mam nic przeciwko temu, ale...

Wszystko wyglądałoby bardziej autentycznie, gdyby obok zacytował np. opinię ks. abpa Martyniaka: – *Straszy się też nas utratą wiary, religii, moralności – ale co to za wiara, której trzeba bronić granicami i gettem? Co za moralność, która się broni przed wejściem ze swymi przekonaniami do Europy? Czyżby nasza wiara była taka słaba? – I dalej: – Dobrze by było przestać my-*

śleć w kategoriach boso, ale w ostrogach i zacząć bardziej akcentować pozytywne strony UE. Tych jest na pewno więcej niż negatywnych. Politycy, którzy tak często w Sejmie teatralnie występują przeciwko UE, powinni głębiej pomyśleć – w poczuciu odpowiedzialności za przyszłość społeczeństwa i kraju (*Tygodnik Powszechny*, 09.02.2003 r.). Ale tutaj powie ktoś: – *To przecież Ukrainiec!* – I tak dookoła Wojtek (czy powracamy do emocji i epitetów).

A jest o czym dyskutować. Ostatnio widziałem w polskiej telewizji audycję o klonowaniu. W sondzie telefonicznej 60 proc. pytaných opowiedziało się za klonowaniem ludzi. Sądzę, że w wielu innych kwestiach byłoby podobnie. – *To jak jest z tą naszą tożsamością, przywiązaniem do wartości chrześcijańskich?* – słusnie pyta ks. bp Pieronek. I nasuwa się pytanie: czy obawy o naszą narodową i religijną tożsamość nie wynikają ze świadomości słabości polskiego patriotyzmu czy katolicyzmu? A jeżeli tak – to jakie działanie będzie tym najważniejszym?

A jest o czym debatować. Oto mam w ręku interesujący tekst prof. Jana Ruska: *Nie ma warunków, na jakich Polska mogłaby przystąpić do UE* (Krzeszowice 2002). Autor pisze: **Drang nach Östen trwa, zmieniają się tylko metody...** I konkluduje: *Wejście*

Polski do UE równać by się musiało skazaniu nas na wycięcie z własności, najpierw na Ziemiach Odzyskanych, a potem w całej Polsce. A bez własności człowiek staje się niewolnikiem... Czy jest to argument przekonujący (nie wnikać w jego merytoryczną treść)? Czy osobistą wolność utożsamia się dziś z posiadaniem ziemi? Czy taki argument przemawia także do mieszkańców dużych miast i ludzi młodych? Przypominam sobie długą rozmowę z sympatyczną nauczycielką liceum w Tychach. O swoich uczniach powiedziała: *Mają dużo wrażliwości i kontrargumentów, i wszyscy chcą do Unii...* Przekonać taką młodzież – oto twórcze zadanie dla przeciwników integracji europejskiej.

Jest o czym rozmawiać, jeżeli ks. bp Pieronek w ocenie naszej przyszłości w *Unii* trafia w samą dziesiątkę (a trafia!) *Nie ma się co ludzi: wszyscy tych zmian nie przyjmą, nie są zdolni do ich zaakceptowania, odnalezienia się w nich. Przyjmie je młode pokolenie, które ma odwagę, skłonność do ryzyka i nie jest obciążone pamięcią o tym świecie z przeszłości.*

Jest o czym rozmawiać. Tylko kto i kiedy wyartykułuje ważne racje jednej i drugiej strony tak, by wszyscy mogli je poznać i rozważyć? Bardzo brakuje mi takiej dyskusji: długiej i twardej dyskusji na argumenty i fakty. Niestety, ani telewizja publiczna, ani telewizja komercyjna nie zorganizowały jeszcze takiej dyskusji z prawdziwego zdarzenia. Toteż byłaby to najlepsza okazja na przekonanie przeciwników do swoich racji! Rządzący nie pałają się jednak do takiej formy propagandy. Czyżby mieli coś do ukrycia?

I nie będzie żadnej puenty. Puentę przyniesie planowane referendum na temat naszego akcesu do UE. I wciąż mam nadzieję, że rządzący (bo do nich to należy!) zdążą dostarczyć społeczeństwu rzetelne materiały, by mogło ono podjąć właściwą decyzję, najpierw w swoim sumieniu, a potem w lokalu wyborczym. Decyzji przecież niezmierznie ważnej dla przyszłości Ojczyzny i każdego z nas osobiście.

ks. Bogdan Markowski CM

Rzeźby J. S. Wojciechowskiego
fot. P. Złoteński



REPORTAŻ

(cz. 4)

Porażenie mózgowe dziecięce objawia się bardzo różnie i z różnym nasileniem. Niektórzy mają niedowład jednej ręki, a inni nie są w stanie nic zrobić samodzielnie. Ewa mówi, że miała szczęście – cierpi na spastyczne porażenie nóg i częściowo rąk, z przewagą porażenia lewej strony ciała. Porusza się na wózku, ale może sama jeść, sama się ubrać, umyć... Umysł ma całkowicie sprawny, a zdarza się, że choroba ta upośledza także umysłowo. Poza tym urodziła się w Warszawie – gdyby mieszkała w małym mieście czy na wsi, mogłaby podzielić losy setek dzieci, które nigdy nie były rehabilitowane, nie uczyły się. Niektóre z nich są ukrywane przez swoich rodziców w domach, jakby były jakimiś potworami...

Na kółkach z uśmiechem

Magdalena Malinowska-Orfinger

Ewa przyciąga ludzi jak magnes – zawsze uśmiechnięta, pełna optymizmu, chęci do działania. Dawni przyjaciele ze wspólnoty *Wiary i Świata* pozakładali rodziny, porojeżdżali się po świecie. Bardzo silny kiedyś kontakt osłabł. Nadal jednak ze sobą korespondują, od czasu do czasu spotykają się. Na miejsce starych przyjaciół przyszedli z czasem nowi. Wiele osób, które nigdy nie znało ludzi niepełnosprawnych i bało się ich, dzięki Ewie pozbyło się tych uczuć. Ludzie traktują ją jak zupełnie zwyczajną osobę z zdrową dziewczyną. Zapominają o jej ograniczeniach i zabierają w miejsca, gdzie nie mogłaby dotrzeć – na zamknięty staw, aby połapała razem z nimi ryby, nad jezioro Hańcza – aby popływała na pontonie, czy do lasu na grzyby. Ewa kocha te wyprawy, choć nieraz przepłaca je siniakami. Zdarza się, że wózek kierowany niewprawną ręką wywróci się na jakimś kamieniu czy nierównym asfalcie. Ona jednak się tym nie przejmie. Mówi: *każdemu się może zdarzyć*. Siniaki i guzy znikają, miłe wspomnienia i zdjęcia pozostają.

Bardzo dużo daje jej także komputer, zwłaszcza Internet. Dzięki niemu czuje się wolna niczym ptak, może w jednej chwili nawiązać kontakt z ludź-

mi z całego świata. Jej niepełnosprawność nie ma w sieci żadnego znaczenia. Założyła nawet własną stronę internetową. Dzięki niej zdobyła już nowych przyjaciół. Jako dziecko marzyła, aby mieć ich chociaż kilku, dziś ma ich bardzo wielu. Ale wciąż szuka nowych.

Przyszłość

Ewa od ponad dziesięciu lat mieszka tylko z mamą, Kryską. Siostra wyjechała z mężem i córką do Niemiec. Adam ma już własną rodzinę.

Wciąż jeszcze nie spotkała w swoim życiu mężczyzny, z którym chciałaby związać swoją przyszłość. Nie wyklucza jednak, że kiedyś tak się stanie, że w przyszłości będzie żoną i matką.

Kiedy była o wiele młodsza, mówiła, że nie założy rodziny, bo nie umiała by do końca życia kochać tylko jednej osoby, tylko jednego mężczyzny. Twierdziła, że będąc jedynie przyjaciółką, mogłaby mieć dla siebie wszystkich, na których jej zależy. Dziś śmieje się z tamtej siebie. Mówi, że stworzyła sobie taką ideologię, aby nie przeżywać zbyt mocno tego, iż ma o wiele mniejsze od innych dziewcząt szanse na randki, na posiadanie chłopaka, na odwzajemnione uczucie. Nieraz boli ją to, że nie znalazła jeszcze tej swojej drugiej połowy.

Miała kilka sympatii, ale nie były one na tyle poważne, żeby z którąkolwiek z nich wiązała swoje plany życiowe. Wielu mężczyzn uważa za przystojnych, wielu jej się podoba, ale żaden nie podbił jeszcze jej serca.

Wie, że są biura i matrymonialne strony internetowe dla niepełnosprawnych. Ale nie chce szukać miłości na siłę. Jest romantyczką. Uważa, że ci, którzy korzystają z usług firm matrymonialnych, często zgadzają się na kompromisy, na które w miłości nie można się zgodzić. Dla niej to zbyt ważna sprawa, żeby decydować się na zasadzie – nie ma innego kandydata? – no, dobrze, to niech będzie ten.

– Niektórzy mówią mi, że jestem zbyt wybredna, ja jednak tak nie uważam. Jeśli mam spotkać tego swojego jedynego, to spotkam, a jeśli nie – to nie.

Jeden z przyjaciół przed swoim ślubem zwierzył się jej, iż wie, że dziewczyna, z którą bierze ślub, jest tą właściwą, z którą będzie szczęśliwy do końca życia. Ewa w to wierzy. I chce, żeby sama mogła kiedyś tak powiedzieć. Dlatego nie umie w miłości iść na ustępstwa. Nawet teraz zna mężczyznę, któremu się podoba, ale to nie wszystko... W sprawach sercowych musi *zaiskrzyć* po obu stronach.

Na pozór wydaje się, że Ewa nie przejmie się sferą miłosną, że żyje niczym zakonnicą. To jednak nieprawda. W rzeczywistości lubi, jak mężczyźni ją adorują, jak z nią tańczą, jak ją zabawiają, jak prawią jej komplementy. W naturze Ewy nie ma kokieterii. Nie umie ona zabiegać o zainteresowanie mężczyzn. Poza tym nauczyła się nie uwieczniać w takich sytuacjach swoich uczuć.

– Nie mogę cały czas rwać sobie włosów z głowy, tylko dlatego, że jestem samotna. Rzadko rozmawiam o tych sprawach. Nie dzwonię do przyjaciółek i nie opowiadam – słuchaj, jest mi dziś bardzo źle, czuję się niekochana i nigdy żaden mężczyzna mnie nie pokocha. Zresztą nie wiem, co będzie jutro, może wszystko się zmieni. Muszę z tym żyć

i przyjąć obecną rzeczywistość taką, jaka jest, inaczej chyba bym zwariowała.

Był kiedyś taki czas, że bała się małżeństwa. Myślała, że jej kalectwo byłoby zbyt dużą przeszkodą we wspólnym życiu. Było często niepełnosprawna dziewczyna wychodzi za męża, a jeżeli już to z reguły za osobę również niepełnosprawną. Inaczej jest z mężczyzną. Bardzo często udaje się mu znaleźć kobietę, która się nim opiekuje, która jest zarówno jego żoną, jak i pielęgniarką. Pełnosprawnych mężczyzn, którzy chcieliby opiekować się niepełnosprawną kobietą, jest niewiele. Dlatego kiedyś Ewa wykluczała, że mogłaby zostać czyjąś żoną. Teraz nie wyklucza, choć również nie zakłada, że tak będzie. Uczy się żyć samodzielnie.

Zdaje sobie sprawę, że Kryśka nie będzie żyła wiecznie, ale nie wie, co zrobi, kiedy mama umrze. Mówi, że będzie się starała sama sobie radzić, ale jeszcze dokładnie nie przemyślała tego problemu. Jest pewna, że zrobi wszystko, żeby tak się usamodzielnic, aby mogła mieszkać sama.

Kiedyś myślała, że przeprowadzi się do *Domu Pomocy Społecznej*. Wyobrażała sobie, że życie tam wygląda tak jak w internacie czy sanatorium, a w takich ośrodkach przebywała kiedyś bardzo często i podobała się jej. Własny pokój, budynek całkowicie przystosowany dla niepełnosprawnych. Żyć, nie umierać. Sądziła, że tak samo jest w *DPS*-ach, że wiedzie się tam spokojnie, bezpiecznie życie. Przypuszczała, że w takim właśnie domu zamieszka po śmierci mamy.

Dziś jednak w ogóle nie bierze takiej ewentualności pod uwagę. Z jednej strony dlatego, że już wie, jak naprawdę wyglądają *Domu Pomocy Społecznej*, a z drugiej – bo już tak wiele potrafi i może sama zrobić w swoim własnym domu.

– Mam kilkoro znajomych, którzy już musieli przeprowadzić się do takich ośrodków (Domów Pomocy Społecznej). To, co mi opowiadają, jest po prostu straszne. Pracujący tam ludzie są przeważnie bardzo zdemoralizowani i niewrażliwi na potrzeby innych ludzi. Za wykonanie jakiegokolwiek postugi za-

dają zapłatę.

Jest to nie do pojęcia, że ludzie pracujący w takich instytucjach mogą być okrutni, wręcz nieludscy. Tylko tak można określić człowieka, który, przynosząc posiłek osobie nie mogącej go samodzielnie zjeść, zostawia ją samą w pokoju, po czym – po pewnym czasie – wraca i bez słowa zabiera nietknięte jedzenie. W ten sposób został potraktowany jeden ze znajomych Ewy. Ewa do niedawna sądziła, że w cywilizowanych krajach nie ma już takiego podejścia do osób wymagających szczególnej opieki. Po obejrzeniu różnych filmów, np. *Lotu nad kukulczym gniazdem*, była całkowicie pewna, że teraz takie miejsca już nie istnieją. Tymczasem w Polsce większość *Domów Pomocy Społecznej* jest do nich podobna.

Ewa wie, że ma spore ograniczenia. Jest jednak tak upartą osobą, że wiele z tych niemożności, szczególnie tych najbardziej jej doskwierających, uwłaczających jej poczuciu godności i podstawowej wolności, udaje się przezwyciężać. Kiedyś jeszcze przed remontem, bo teraz już w ogóle nie ma tego problemu, nie potrafiła sama wejść do wanny. Musiała prosić o pomoc Adama. On przyjeżdżał i ubraną w koszulę nocną Ewę wrzucał do wanny. Było to zarówno dla niej, jak i dla niego bardzo niewygodne i krępujące, mimo że są sobie bardzo bliscy i wiele razem przeżyli. Poza tym mogła kąpać się tylko raz na kilka dni, czasem nawet raz na tydzień, bo Adam nie mógł przyjeżdżać do niej codziennie.

Postanowiła nauczyć się samodzielnie wchodzić do wanny. Na początku bała się, że zrobi sobie krzywdę, ale kiedy udało się jej to raz i drugi, nabrała pewności siebie. Wreszcie mogła kąpać się codziennie. Do tej pory opowiada o tym z taką radością, jakby celująco zdała ważny egzamin. Ale dla niej taki wycyzek jest rzeczywiste egzaminem z przystosowania do samodzielnego życia.

W ten sposób przezwyciężyła już wiele swoich słabości i wierzy, że jeszcze mnóstwo uda się jej przezwyciężyć. Aż będzie całkowicie samodzielną.



foto: P. Zyceniński

Już w tej chwili poradziłyby sobie w mieszkaniu. Nie ma w nim żadnych ograniczeń architektonicznych – zlikwidowane zostały wszystkie progi, może sama korzystać z łazienki, gotować, sprzątać, może nawet sama wychodzić na balkon. Szczególnie ta ostatnia czynność bardzo ją cieszy. Przez wiele lat nie mogła korzystać z loggii, którą posiada jej mieszkanie. A teraz już może. Jest to dla niej bardzo ważne, bo nieraz przez wiele dni nie ma możliwości wyjścia z domu. Balkon staje się dla niej wówczas namiastką spaceru, wolności...

Finansowo dałaby sobie radę. W tej chwili w ogóle nie martwi się o pieniądze – ma stałą pracę, oprócz pensji dostaje także rentę inwalidzką. Jest pewna, że także w przyszłości, jeżeliby straciła obecną posadę, znajdzie jakąś inną. Sprawnie posługuje się komputerem, a dziś to duży atut. Ubolewa nad swoją słabą znajomością języków obcych, która ogranicza jej szanse na rynku pracy. Poza tym może pracować tylko w domu, dojeżdżanie do miejsca zatrudnienia w tej chwili jest zupełnie nierrealne. Koszty dojazdów pochłaniałyby prawdopodobnie cały jej zarobek. Jednak już tyle razy znajdowała zajęcia, które, choć niezbyt odpowiednie dla osoby z wyższym wykształceniem, dawały jej wystarczającą na życie sumę pieniędzy, że nie wątpi, iż dalej będzie sobie materialnie radzić. *W najgorszym wypadku wynajmę jeden pokój* – mówi.

CDN.

Jerzy Trammer Choć wyparował

Ma się wrażenie, że przemysł wyparował... Idę przez swoją okolicę. Tu była Róża Luxemburg – żarówki. Już nie ma. Tam był Waryński – koparki. Nie ma. Tu znowu **ZREMB** – maszyny budowlane. Produkowali na trzy zmiany. Zostały puste, ogromne i zrujnowane hale. Gnieżdżą się w nich gołębie. Ktoś zbiera złom. W dawnym biurówcu bezdomni palą ogień. Jadę pociągiem. Przez okno widać fabryki. Kiedyś tętniące życiem, a dziś uspione, nieruchome. Ursus, Ożarów, Zakłady Lniarskie w Żyrardowie... *Deindustrializacja* – mówi kolega. Wszystko upada. Strach. Gdzie będzie się pracować? To Zachód kupował te zakłady, by dla ich fabryk nie było konkurencji. Kupował i zamykał, a ludzi ślą na bruk.

Lecz na Zachodzie (w Niemczech, w Szwajcarii, we Francji, w Belgii, w Anglii, w USA) przemysł też wyparował. *Wielkie przemieszczenie produkcji przemysłowej poza Szwajcarię. Na nie użytkowanych terenach powstały industrialne ugrody, niektóre z nich miały pierwszorzędną lokalizację w miastach – choć na skażonej ziemi. Fabryki czekolady zamieniono zatem na uniwersytety, fabryki włókiennicze – na mieszkania, stacje kolejowe – na galerie sztuki, huty – na centra handlowe – kompleksy przemysłowe w Zurychu, w Bazylei, we Vevey stały się znowu miejscami do pracy i życia...* – pisze K. Gantenbein w broszurze *Architektura Szwajcarii*.

Choć przemysł wyparował, to wsząd napiera towarowa masa. Prawdziwie gigantyczna, wiecznie napływająca, wciąż potężniejsza fala. Świątynie handlu – hipermarkety pękają w szwach. Ciepło i jasno, posadzki błyszczą, kusząco gra muzyka. Ludzie powoli i z godnością pchają przed sobą pełne towaru wózki.

Nagle wspomnienie. Czasy, kiedy fabryki żyły. Buchały dymem, parą, a okolicę musztrowały syrenami. To zasysały, to wypływały tłumy swych pracowników. Wówczas w sklepikach-norach, przynajmniej w mojej okolicy, najczęściej prawie nie było. ■

PLASTYKA

Pasja według twórców ludowych

Polska sztuka ludowa nawiązująca do wydarzeń religijnych (w swoich najwspanialszych, ale autentycznych i wzruszających przedstawieniach) najczęściej odwzorowywała sztukę kościelną. W kościele bowiem najłatwiej można było poznać dzieje Starego i Nowego Testamentu, życie świętych, historię Kościoła.

Inspirującymi twórców ludowych religijnymi uroczystościami były najczęściej święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy, odnoszą się one bowiem do początku i końca życia Jezusa Chrystusa na ziemi. Mimo radosnego charakteru okresu Narodzenia, to czas dopełnienia ziemskiego żywota Chrystusa zawsze przemawiał do ludu z największą mocą.

Rozpamiętywanie Męki, Ukrzyżowania i Zmartwychwstania Syna Bożego było mocno zakorzenione w ludowym sposobie przeżywania wiary. Jednak nie wszystkie tematy pasyjne znalazły w sztuce ludowej jednakowo obiszne odbicie. Rozpoczynający cykl pasyjny triumfalny wjazd Chrystusa do Jerozolimy spotykamy przeważnie w malarstwie na szkle. Natomiast niezwykle bogatą ikonografię posiada scena Ostatniej Wieczerzy. Zajmowali się nią ludowi rzeźbiarze, malarze, odwzorowywana była na licznych drzeworytniczych odbitkach. Artyści ludowi ukochali jednak najbardziej wyobrażenie Jezusa Frasobliwego, stanowiące dla nich podsumowanie wszystkich scen Męki Pańskiej. Za najwcześniejsze przedstawienie tego tematu uważa się drzeworyt Albrechta Dürera umieszczony na stronie tytułowej cyklu graficznego tego wspaniałego twórcy, zatytułowanego *Mala Pasja*. Figurki Chrystusa Frasobliwego już w XVI wieku na terenie Polski spotykało się nie tylko w wie-



skich świątyniach, lecz także w dziesiątkach i setkach przydrożnych kapliczek. To najpopularniejsze dziś dzieło sztuki ludowej ucieleśniało Boga rozumiejącego wszelkie ludzkie biedy, martwiącego się grzesznikami, ale nie pozostawiającego ludzi bez nadziei na zbawienie. Zmartwychwstanie, którego opisu nie przynosi żadna z Ewangelii, wymyka się trochę kanonom ludowej wyobraźni, zwłaszcza że temat ten w dawnej sztuce kościelnej ukazywany był symbolicznie jako przedstawienie Trzech Niewiast u Grobu. Ikonograficznie późniejsza figura Chrystusa Zmartwychwstałego jest obowiązkowym elementem procesji rezurekcyjnej i nadal pracują nad nią współcześni ludowi snycerze. Interesujący zestaw ludowych dzieł sztuki poświęconych tematowi pasyjnym można do czerwca br. oglądać w warszawskim **Muzeum Etnograficznym** na wystawie pt. *Za grzech świąta...*

Jarosław Kossakowski

SIOSTRY ZMARTWYCHWSTANKI

Zgromadzenie *Siostr Zmartwychwstania Pana Naszego Jezusa Chrystusa* założone w Rzymie w 1891 roku przez matkę i córkę, Sługi Boże Celinę i Jadwigę Borzęcką, posiada w Polsce dwie prowincje: warszawską i poznańską. Celem apostołskim zgromadzenia jest nauczanie, wychowanie chrześcijańskie oraz opieka nad chorymi. Na świecie jest ponad pięćset zmartwychwstank. Polek jest 356, z których kilkanaście pracuje w placówkach zagranicznych, w Anglii, Argentynie, Australii, Kanadzie, USA, na Białorusi i we Włoszech.

Depozytariuszki narodowej tożsamości

Z siostrami: **Joanną Paulą Cichocką, Anną Heleną Skalik, Agnieszką Noemi Lendzioszek** rozmawiają **Paweł Smogorzewski i Eugeniusz Zdanowicz**

Jaka jest geneza powstania Zgromadzenia Sióstr Zmartwychwstanków?

Najkrócej mówiąc, nasze Zgromadzenie powstało z myśli religijno – patriotycznej założyciela zmartwychwstanków Bogdana Jańskiego, zwanego *pierwszym pokutnikiem* Wielkiej Emigracji. Trzeba jednak dodać, iż po przedwczesnej śmierci Jańskiego, dopiero dwaj jego uczniowie: Piotr Semenenko i Hieronim Kajsiwicz całe to dziedzictwo duchowe uzupełnili, pogłębili i uporządkowali. Ks. Piotr Semenenko zawsze wierzył w to, iż prędzej czy później zaistnieje także żeńska linia zmartwychwstanków. Podejmował nawet kilka prób utworzenia takiej wspólnoty. Warto może przypomnieć, że przykładowo niepokalanki otrzymały swoją regułę z rąk ks. Hieronima Kajsiwicza.

Ostatecznie Zgromadzenie Zmartwychwstanków powstało w 1891 roku dzięki Celinie i Jadwidze Borzęckim, których przewodnikiem i ojcem duchowym był przez lata właśnie ks. Piotr Semenenko. Te dwie współpracownice, matka i córka, wcieliły w swoje życie i w nadane Zgromadzeniu konstytucje, duchowość zmartwychwstańską. Matki Założycielki bawowały na napisanej przez swego ojca

duchowego *Regule Ośmiu Błogosławieństw*. I chociaż *Regula* nigdy nie stała się oficjalnymi konstytucjami Zgromadzenia, to jednak ona właśnie zawierała główny i podstawowy rys naszej duchowości.

To swoisty fenomen, że matka i córka były założycielkami rodziny zakonnej. Czy zechciałyby Siostry powiedzieć o nich coś więcej?

Celina Borzęcka pochodziła ze starej rodziny szlacheckiej Dołęgów Chłudzińskich. Przyszła na świat w 1833 roku w Antowilu pod Orszą w guberni mohylewskiej, w rodzinnym majątku swego ojca, marszałka szlacheckiego witebskiej. Chociaż od najmłodszych lat myślała o poświęceniu się Bogu, rodzice – jak to wówczas bywało – widzieli przyszłość córki w małżeństwie i po swojemu pragnęli zaplanować jej szczęście. W celu rozpoznania swej życiowej drogi Celina odprawiła rekolekcje u Sióstr Wizytek w Wilnie. Ostatecznie rodzice wydali ją za mąż za ziemianina z okolic Grodna Józefa Borzęckiego, przyszłego dziedzica Obręszczyzny.

W rodzinie Borzęckich przyszło na świat czworo dzieci, ale wychowały się jedynie dwie córki. Starsza, nosząca po matce to samo imię, oraz młodsza Jadwiga urodzona w lutym 1863 roku.

Jadwiga jako niemowlę, wraz z matką, która jawnie udzielała pomocy powstańcom, przeżyła aresztowanie i pobyt w więzieniu.

Życie przyszłej Matki Założycielki nie szczydł jej dramatycznych doświadczeń...

Wspomnieliśmy już uprzednio o stracie dwójki dzieci. W ciągu kilku lat, jej świat pustoszeje, kolejno odchodzi najbliżsi. Jej mąż zostaje dotknięty paraliżem. Celina otacza go troskliwą opieką. Jeździ z nim na kurację do Wiednia. Niestety, to nie pomaga. Stan zdrowia męża się pogarsza. Mimo usilnych starań nie udaje się uratować jego zdrowia i życia.

Po śmierci męża Celina Borzęcka wraz z dwiema córkami, głównie z myślą o ich edukacji, w 1875 roku przyjeżdża do Rzymu. W Wiecznym Mieście ożywają dawne pragnienia poświęcenia się Bogu. Wraz z córkami zamieszkuje w pobliżu kościoła św. Klaudiusza i to ma swoje niezwykle znaczenie, gdyż tam właśnie, w tej świątyni spotyka w konfesjonale ks. Piotra Semenę, ówczesnego generała księży zmartwychwstanków. Podczas spowiedzi Celina Borzęcka odświeża przed nim swe młodzińcze pragnienia, a spowiednik uznał to spotkanie za wielce znaczące i pomyślał

SIOSTRY ZMARTWYCHWSTANKI

wówczas z nadzieją, że oto ta niewiasta, będzie, być może, jedną z tych kobiet, które przyczynią się do powstania wspólnoty zmarłychwstanki. Droga do tego była jednak jeszcze bardzo daleka.

Starsza córka Celina stanowczo wdziała swoją drogę życiową w małżeństwie. W 1879 roku wychodzi za mąż za Józefa Hallera z Giebułtowa. Z jej potomkami, jako zgromadzenie, wciąż jesteśmy w kontakcie.

Rodzina Założycielki wyrosła na Kresach Rzeczypospolitej...

Dodajmy, że była to rodzina o wielkich, patriotycznych tradycjach, przekazywana z pokolenia na pokolenie depozyt głębokiej wiary. Celina, jak już powiedzieliśmy, od najmłodszych lat pragnęła poświęcić się Bogu. Rodzice jednak zdecydowali inaczej... Rozważanie, *co by było gdyby...* nie ma najmniejszego sensu. Widać w planie Bożym Matka Założycielka musiała przejść tę drogę, która niewątpliwie była też swoistą próbą jej zawierzenia Bogu.

W życiu każdego z nas, na jakimś etapie, niewątpliwie pojawia się coś, co można by przyrównać do owej odwiecznej próby, którą postawił Bóg przed Abrahamem.

Nasza Matka Założycielka niewątpliwie niejednokrotnie stawała przed próbą owego, bezgranicznego zawierzenia Bogu. Niespodziewana śmierć córki, współzałożycielki zgromadzenia, która przecież miała kontynuować wspólne dzieło także po jej śmierci, można – po ludzku rzecz biorąc – zaliczyć do największych tego typu doświadczeń.

Nie ma chyba drugiej takiej wspólnoty zakonnej, której twórczyniami byłyby matka i córka?

Fascynujący jest ten okres w życiu matki Celiny, kiedy starsza córka wychodzi za mąż, a ona sama próbuje tworzyć Zgromadzenie. Jest już niejako nowym człowiekiem, ale jednocześnie wciąż czuje się matką i babcią. Nie

mniej złożona jest wewnętrzna sytuacja córki Jadwigi, która również pragnie oddać się Bogu, ale przeżywa wielki dramat. Choć bardzo kocha matkę, to nie do końca rozumie. To były po prostu dwie różne osobowości. Matka Celina była ekstrawertyczna, wylewna, uczuciowa, serdeczna; Jadwiga – skupiona do wewnątrz, introwertyczna, refleksyjna, myśląca, spokojna, opanowana.

W końcu jednak matka i córka znalazły wspólny język?

Jadwiga musiała cały czas pokonywać samą siebie, rezygnować ze swego zdania, aby móc odczytać myśl Bożą. Wspomagana przez ks. Semenę, który był jej przewodnikiem duchowym – ostatecznie wyraża zgodę na współpracę z matką. Było to 25 marca 1882 roku w Uroczystość Zwiastowania NMP. Tę datę przyjmujemy za duchowy początek zgromadzenia. Do oficjalnego erygowania wspólnoty zostało jeszcze dziewięć lat. Za taki uznajemy dzień 6 stycznia 1891 roku, kiedy to wieczyste śluby składają Celina i Jadwiga a trzy inne siostry zmarłychwstanki – pierwsze śluby.

W tym okresie mają miejsce dwa znaczące dla przyszłości powstającej wspólnoty wydarzenia.

Tak. To prawda. W 1886 roku umiera ks. Piotr Semenka, od pamiętnego spotkania w konfesjonale w 1875 roku przewodnik duchowy matki i córki. W rok później rozpoczyna swoją działalność pierwsza szkoła w Rzymie, która wyprzedza o kilka lat oficjalne powstanie naszego zgromadzenia.

Od początku zmarłychwstankom przyswieca służba społeczna dla znajdującego się pod zaborami kraju i praca formacyjna wśród młodzieży.

Służbę narodowi, pojętą jako pracę nad odrodzeniem moralnym, tak by ratować młodzież i spieszyć z pomocą polskim kobietom, mamy niejako wpisana w nasz charyzmat. Tak było od czasów rzymskich, kiedy to Matka Celina

zainicjowała prowadzenie owej, wspomnianej już wyżej, niewielkiej szkoły w Rzymie. Od tamtych czasów również datuje się, trwająca do dziś, współpraca ze zmarłychwstankami w parafiach.

Już w kilka miesięcy po oficjalnych narodzinach zmarłychwstanki docierają na tereny Polski.

Matka Celina przyjeżdża do Krakowa i dociera do kard. Albina Dunajewskiego, hojnego twórcy wielu charytatywnych fundacji. Kardynał proponuje Matce Borzęckiej jako miejsce osiedlenia nowego zgromadzenia na terenie Galicji – Kęty, Wieliczkę albo Wadowice. Matka wybiera Kęty, bowiem w tamtejszym klasztorze klarysek bywał ks. Semenka, który prorokował, że w przyszłości będą tam pracowały zmarłychwstanki.

Początki pracy są bardzo skromne, ale równoległe ze wznoszeniem klasztoru siostry podejmują, jakbyśmy to dziś powiedzieli, prace społecznie użyteczne. Otwierają więc ochronkę dla dzieci, a także szwalnię, w której zatrudnienie znajdują miejscowe kobiety. A trzeba pamiętać, że przysłowiowa bieda galicyjska nie była bynajmniej wymysłem literackim. W tym samym czasie Kościół podejmuje wiele podobnych dzieł. Ich skala jest bardzo zróżnicowana, począwszy od niewielkich fundacji, jak choćby nasze Kęty, a skończywszy na Miejscu Piastowym ks. Markiewicza czy salezjańskim Oświęcimiu.

W tym samym czasie zmarłychwstanki decydują się na, zdawać by się mogło nieco egzotyczny, wyjazd misyjny do Bułgarii.

Misja trwała siedem lat. Ruszyliśmy na wezwanie zmarłychwstanków. Nasze siostry pracowały z ludnością unicką. Nie powinno to dziwić, bowiem w nasz charyzmat od początku wpisany miałyśmy również ekumenizm. Niestety, nie udało się nam zaaklimatyzować w Bułgarii, chociaż księża zmarłychwstanki, mimo wielkich trudności, przetrwali także i w tej części świata. A dzisiaj się odradzają, wciąż wysyłając tam ↗



Siostra Celina Borzęcka – Współzałożycielka



Siostra Jadwiga Borzęcka – Współzałożycielka



Błogosławiona Siostra Alicja Kotowska



Sarkofag Czcigodnych Sług Bożych Celiny i Jadwigi Borzęckich w kościele parafialnym Kętach



Przez Krzyż i Śmierć do Zmartwychwstania – motto Zgromadzenia



M.B. Ostrobramska z ołtarza w kaplicy klasztornej w Kętach



Siostry w prezbiterium kaplicy klasztornej w Kętach

Zgromadzenie Sióstr Zmartwychwstaneek

fol. Archiwum Sióstr



Na modlitwie w kaplicy w Kętach



Pierwsza profesja zakonna sióstr



Wspólna rekreacja sióstr i uczennic



Lekcja fizyki w szkolnym laboratorium



Na lekcji biologii



Geografia wcale nie musi być trudna



Liceum Sióstr Zmartwychwstańek na pielgrzymce w Rzymie

SIOSTRY ZMARTWYCHWSTANKI

nowych współbraci. Zmartwychwstańcy prowadzą placówkę w miejscowości Malko-Tirnowo, a także w Warnie i Burgas.

Nasz kolejny dom powstał w Czechochowie, i choć z początku miał charakter ośrodka rekolekcyjnego, to w związku z miejscowymi potrzebami, szybko został przekształcony w placówkę opieki nad dziewczętami. Powstały tam też szkoły.

Na początku wieku XX następuje też szczególny rozkwit pracy zmartwychwstańek za Oceanem. Jak przebiega praca wśród Polonii w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie?

Służba Polakom poza granicami i opieka duchowa nad tymi, którym przyszło żyć z dala od Ojczyzny, niejako wpisana jest w nasz charyzmat i należy do naszych obowiązków. To przede wszystkim praca naszych sióstr w parafiach polonijnych, jak chociażby w Chicago. Tam nad początkami naszej pracy czuwały same Matki Założycielki, które w miarę rozwoju naszej wspólnoty, zleciły prowadzenie tego dzieła s. Annie Strzeleckiej.

Czy zgromadzenie równie dynamicznie rozwija się także w Polsce?

Pracę w Warszawie Zmartwychwstańki rozpoczęły już w 1900 roku. Jeszcze przed odzyskaniem niepodległości założyły internat przy ulicy Wiejskiej, który został potem przeniesiony na ulicę Sewerynową, gdzie też została otwarta szkoła dla dziewcząt. W roku 1930, już na Żoliborzu, powstają Zakłady Naukowe Sióstr Zmartwychwstańek. W ich skład wchodzi: przedszkole, szkoła powszechna, gimnazjum, liceum a także seminarium nauczycielskie. Znawcy tematu twierdzą, że była to jedna z najlepszych placówek kształcących ówczesnie pedagogów. W ramach reformy oświaty seminarium nauczycielskie zostało zamknięte w roku 1936. (Podobnie zresztą jak jedyne wiejskie seminarium nauczycielskie w Li-

skowie). Do czasu jego likwidacji mury tej uczelni opuściło ponad sto absolwentek, w tym wiele naszych sióstr. Oczywiście, prowadzenie tego zakładu było odpowiedzią na społeczne zapotrzebowanie w niepodległej Polsce na wykwalifikowaną kadrę pedagogiczną.

Wpisany w krajobraz warszawskiego Żoliborza klasztor zmartwychwstańek i prowadzona przez nie szkoła mają także piękną kartę wojenną z czasów Powstania Warszawskiego.

Po roku 1939 Niemcy pozwalali na utrzymanie polskiego szkolnictwa jedynie na poziomie podstawowym i zawodowym. Siostry tworzą więc szkołę krawiecką, pod szyldem której prowadzą tajne komplety w zakresie szkoły średniej. Dzięki temu doprowadzają uczennice do matury. W ten sposób przez mury naszych szkół w okresie okupacji przeszło około tysięcy uczennic.

Jednak ta karta z historii, z której jesteśmy szczególnie dumne, otwiera się w momencie wybuchu Powstania Warszawskiego. Wszystkie, podkreślam, wszystkie wychowanki uczestniczą w powstaniu jako sanitariuszki albo jako łączniczki.

Wzruszające jest świadectwo jednej z absolwentek, która chodziła do naszej szkoły razem ze swoją siostrą. Jedna była pilna i bardzo dobrze się uczyła. Powszechnie sądzono, iż nie obchodzi ją nic poza nauką. Wydawało się więc, że nie ma czasu, by zajmować się sprawami patriotycznymi. Druga z sióstr była zbuntowana. Często mówiła – *po co się teraz uczyć, trzeba myśleć o konspiracji!* I chociaż mieszkali pod jednym dachem – jedna o drugiej nie wiedziała, że obie są w podziemiu. Dopiero kiedy wybuchło Powstanie, obie siostry spotkały się na linii frontu, jako łączniczki. Tak szlachetna była ta młodzież, takiego miała ducha, takie poczucie obowiązku, dziewczęta konspirację traktowały z największą powagą, chroniąc do końca obowiązującą pod przysięgą, tajemnicę wojskową!

W czasie Powstania w budynku szkoły oraz w klasztorze funkcjonował szpital polowy. Siostry zostają ewakuowane. Powstańcza reduta, w którą podczas walk na Żoliborzu zamienia się kompleks klasztorny zmartwychwstańek, nigdy nie została przez Niemców zdobyta, skapitulowała dopiero wraz z całym miastem.

Wiele z naszych uczennic, które uczestniczyły bezpośrednio w powstańczych walkach, odniosły rany, wiele zginęło. Wciąż pamiętamy o tych dniach. W szkole można obejrzeć stałą ekspozycję przypominającą tamten heroiczny, wojenny czas.

Wśród 108 męczenników za wiarę, wyniesionych na ołtarze przez Jana Pawła II, znalazła się zmartwychwstańka.

Tą zmartwychwstańką jest przełożona klasztoru i dyrektorka naszych szkół w Wejherowie, urodzona w Warszawie, błogosławiona s. Alicja Kotowska. Siostra Alicja wiedziała, że jest na czarnej liście gestapo, a mimo licznych ostrzeżeń nie opuściła powierzzonej sobie placówki. Została wydana przez jednego z pracowników szkoły. W chwili aresztowania publicznie, wobec sióstr, wyznała, że wybacz swemu denuncjatorowi. Została rozstrzelana 11 listopada 1939 roku w lesie pańnickim, w zbiorowej egzekucji, a jej zwłoki spalono. W sześćdziesiąt lat po jej męczeńskiej śmierci Ojciec Święty w czasie pobytu w Warszawie wyniósł ją na ołtarze wraz z męczennikami za wiarę, którzy zginęli z rąk niemieckich.

Zasług, jakie położyła dla Polski i szkoły, i zgromadzenie w czasie okupacji, nie chciały uznać komunistyczne władze?

Od wojny aż po rok 1989 – to był bardzo trudny czas dla szkoły. W roku 1949 zapada, jak pamiętamy, decyzja o zamknięciu szkół wyznaniowych. Zmartwychwstańkom nie pozwala się na przyjmowanie dzieci do szkoły podstawowej. Istnieje wprawdzie liceum, ale w bardzo okrojonej formie – po jed-

ZMARTWYCHWSTANKI

nej klasie na każdym poziomie. Szkoła istnieje dla około stu, stu dwudziestu uczennic. Oczywiście, w tych warunkach szkoła nie otrzymuje uprawnień państwowych na czas nie określony, a jedynie na rok. W tej sytuacji trzeba ciągle zabiegać za o ich odnawianie. Programy nauczania także są kontrolowane, chociaż szkoła ma bardzo dobre wyniki zarówno w nauczaniu, jak i w pracach społecznych. Nikogo nie wzrusza też fakt, że uczennice zmarłych przodków w pracach przy odbudowie Warszawy. Wciąż pojawiają się bezsensowne zapisy wizytatorów, że *szkoła nie realizuje programu ideologii marksistowskiej*. Nasze uczennice musiały nieraz powtarzać egzamin maturalny przed komisją państwową.

Przetrawszy najtrudniejszy okres, dzisiaj szkoła ss. Zmartwychwstanków stawiana jest za wzór innym tego rodzaju placówkom. Wysoko plasuje się w różnego rodzaju rankingach. Co sprawia, że uznawana jest ona za wzór pedagogicznego sukcesu?

W istocie jesteśmy całkiem nieźle oceniani, ale to nie pozycja w takim czy innym rankingu przynosi nam radość. Żadne bowiem z tego rodzaju zestawień nie jest adekwatne do założeń pracy pedagogicznej, którą prowadzimy w naszej szkole. Nam bowiem chodzi nie tylko o kształcenie intelektualne, lecz także, a może przede wszystkim o wychowanie i formowanie ucznia na prawdziwego, dojrzałego człowieka i chrześcijanina. Żoliborskie placówki: **Prywatne Gimnazjum Sióstr Zmartwychwstanków im. Błogosławionej Siostry Alicji Kotowskiej i Prywatne Liceum Ogólnokształcące Sióstr Zmartwychwstanków im. Matki Jadwigi Borzęckiej** od początku swego istnienia realizują taki właśnie program.

Dziękujemy za rozmowę.

**Rozmawiali:
Paweł Smogorzewski
i Eugeniusz Zdanowicz**

Prawda nas przetrwa

W wywiadzie udzielonym w 1997 roku Jerzy Piechowski powiedział: *Sięgając do prehistorii: kiedy byłem na studiach w 1953 roku, profesor filologii klasycznej Kazimierz Kumarniecki, zaproponował mi, bym do czasopisma Meander napisał felieton o pewnym Józefie. Ale to nie chodzi o tego Józefa, o którym pan myśli (był, jak wspominałem, rok 1953). Prasa wtedy uginiała się od artykułów na temat Stalina, ale mnie Meander poświęcony kulturze antycznej proponował zająć się osobą Józefa Piechowskiego, który, słowo daję, nie wiem, czy był moim kuzynem, czy nie był. Ale był profesorem filologii w Charkowie i w Moskwie, żył w XIX wieku i zaliczał się do wybitnych znawców Homera...*

Wybór pisarstwa (może mówić o postłannictwie) w wypadku Jerzego Piechowskiego nie był przypadkowy. Ród pisarza wywodził się z XIV wieku. Jerzy Piechowski, zbierając materiały do powieści historycznych, trafił na kilku znaczących swoich przodków. Łukasz Piechowski walczył pod Wiedniem i jest wymieniany w księdze rycerstwa, gdyż własnym sumptem wystawił chorągiew. Król Stanisław August w II tomie swoich pamiętników wspomina szambelana Józefa, który był posłem na sejm w 1788 roku. To antenat pisarza. A z bocznej linii wywodził się Michał Piechowski, biskup, który zmarł w 1723 roku i zajmował się historią Kościoła. Można powiedzieć, chciał zagospodarować nowe obszary kultury, może tylko podświadomie dźwigając na sobie ciężar dokonania przodków. Wystąpił na początku w swej pracy krytycznej na łamach prasy przeciwko pesymizmowi literatury, zwłaszcza odnosząc ten stan du-

chowy do nurtu egzystencjalnego (Sartre, Beckett, Simone de Beauvoir, Tennessee Williams, także Greene) i wychwytyjąc zasadniczą różnicę między rozpaczą pisarzy katolickich a rozpaczą pisarzy odrzucających katolicyzm. Jako znawca problemu Piechowski poruszał się po ogromnych rejonach literatury światowej, może jako jeden z niewielu krytyków swego czasu. Literaturze stawiał bardzo wysokie wymagania, traktując utwór literacki jak traktat filozoficzny. Patrząc na inicjacje literackie młodych, odmawiał im erudycyjności i trwałości w zasadach. Wołał o literaturę katolicką, przytaczając nauczanie papieża Pawła VI: *Papież podkreślił, że sztuka posiada ogromne znaczenie dla apostołatu Kościoła, wyraził żal, że fakt ten bywał często w ostatnich czasach niedoceniony i zwrócił uwagę na wielkie możliwości inspiracji, jaką chrześcijaństwo może wzbogacić artystę oddającego i kształtującego skomplikowany klimat duchowy współczesnego świata*. Wypadnie podkreślić, że Jerzy Piechowski, przed napisaniem debiutanckiej książki, wyraził w esejście *credo* swojej postawy.

Powieść, którą Jerzy Piechowski zadebiutował w 1962 roku, nosiła tytuł *Cień sprawy*. Jej akcja dzieje się w Babilonie, na Krecie, w Palestynie, Egipcie i Asyrii w XIV wieku przed narodzeniem Chrystusa. Penetracja tak odległych przestrzeni okazała się możliwa dzięki podróżom kapłana babilońskiego Nabonaida. Jego imię rozpoczęło w twórczości Piechowskiego ciąg drugorzędnych figur, które dają świadectwo wielkim przewrotom, upadkom, zmianom. Stefan Jończyk, pisząc o debiucie Piechowskiego, wyraził się nawet, że nie akcja tu naj-



ważniejsza, a uogólnienie, teza, ku której utwór zmierza: ukazanie dramatu człowieka wszechczasów. Cień sprawy na ogół przyjęto dość ciepło, choć wytykano jej powinowactwa z twórczością Parnickiego.

Własny styl odnalazł Piechowski w trylogii powieściowej, na którą składają się utwory: *Sekretarz Piłata*, *Drzewo gorzycy* i *Rzym plonie*. W tej pierwszej książce przewodnikiem po świecie prokuratora Judei, Poncjusza Piłata, jest Grek Mezegynos. To postać z serii świadków, niejawnych bohaterów drugiego planu, które historii pozwalają dokonać się właściwie bez ich udziału, za to w calej, często zakulisowej okazałości. Stąd sam Piechowski mówi o grze masek, o oscylacji prawdy i fałszu, o niejasności sytuacji, które nakręcają fabuły jego utworów.

Bardzo życzliwie przyjęte zostały wszystkie trzy nowe powieści o początkach chrześcijaństwa. Nad pierw-

szą z nich – *Sekretarz Piłata* przetożyczyła się burzliwa dyskusja, w której m.in. Zdzisław Umiński na łamach w *WTK* wytknął kontynuację linii Parnickiego, co z czasem miało rozminąć się z prawdą.

Trzecia powieść tej trylogii *Rzym plonie* obejmowała czasy Nerona i zamknęła fascynujący okres początków chrześcijaństwa, otrzymując wysoką rangę artystyczną. Tak już na początku credo, jakie wyraził Piechowski w esejście, znalazło wyrafinowane przełożenie na literaturę chrze-

ścijańską, która nadawała napęd na pierwsze kroki pisarza.

Debiutancka powieść Piechowskiego *Cień sprawy* zapoczątkowała w jego ciągu powieści historycznych nurt utworów antycznych, do których należą także *Teodozja odchodzi*, *Piktakos blazen* i inne. Z tego ciągu wyodrębniła się nurt literatury z dziejów pierwszych chrześcijan (przykładem pozycji z trylogii), a także – w ostatnich latach szczególnie – ciągle wzbogacał nurt powieści z historii Polski, tej późnopiastowskiej, jagiellońskiej i przedrobiorowej (*Znak salamandry*, *Gwiazda z krainy Północy* – o Koperniku, *Świadkowie i truciele*). Osobne miejsce zajęły w twórczości Piechowskiego powieści psychologiczne (*Minotaur*, z wątkiem schizofrenicznym, *Trzecia pokusa*, stawiająca problem konfliktu starego i nowego w Kościele, *Żrenice wroku* o dylemacie naukowca). Autor swój wybór literacki objaśnił tymi sło-

wy (1966): *Bez znajomości mitu i historii (nie tylko starożytnej) wiele postaw ludzkich i wydarzeń wydaje się niezrozumiałych*. Pisarz stworzył własny kanon powieści historycznej, a nad uchwytnością jego istoty jeszcze długo muszą się biedzić krytycy, jak to zostało powiedziane: *nie rozumiejący często drugiego dna gry, pozorów i opalizacji znaczeń*.

* * *

Stosownie do zaleceń papieża Pawła VI literatura katolicka zaczęła się w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych w Polsce, a i na całym świecie, krzewić szeroko. Szczególnie obfity był w niej nurt metafizyczny, podejmujący tajemnicę Absolutu i jego przejawów w rzeczywistości ziemskiej. Największy wpływ w tym nurcie miała u nas tradycja Norwidowa. Metafizyka tego wieszca przeniknęła do poezji Karola Wojtyły, obecnego papieża Jana Pawła II, a w prozie m.in. do powieściopisarstwa Jerzego Piechowskiego. Ostatni twórca prężył z tej poetyki aurę pełną niedomówień, metafor, aluzji, gier słów, relacji i wewnętrznych komponentów, inspirowaną przeważnie przez wartości chrześcijańskie. Jerzy Piechowski był zjawiskiem niecodziennym, ale właśnie z powodu ciemności swej poetyki (tak skrętnie wytykanej przez niektórych krytyków) był niedoceniany i do końca niezrozumiany.

Był bodaj największym w tej chwili beletrystą-historkiem. Napisał blisko 40 powieści, mnóstwo artykułów (drukowanych m. in. w *Powściągliwości i Pracy*, *Głosie*, *Rzeczpospolitej*, *Nowych Książkach*). Zmarł po długiej ciężkiej chorobie w Warszawie, 12 stycznia. Pozostawił po sobie takie przesłanie: *Prawda... Tylko dlatego rozpocząłem pisanie, by nie zaginęła wraz ze mną, jej świadkiem. Wydarzenia mijają, odchodzą na zawsze. Podobnie jak ludzie, wraz z pamięcią, która się kończy, którą umarli zabierają ze sobą do grobu*.

Stanisław Stanik

ks. Marek Starowieyski

Apokryfy

Apokryfy nie mają dobrej passy. Ojcowie Kościoła rzucali na nie gromy: św. Hieronim grzmiał o *bredzeniu apokryfów*, zaś św. Augustyn – bardziej powściągliwy – ganił je wprawdzie jako teolog, ale używał ich w kazaniach jako duszpasterz. Te wszystkie potępienia, bynajmniej, nie przeszkodziły temu, że w Średniowieczu weszły one do cyklu legend o świętych a motywy w nich zawarte używali artyści średniowiecza i późniejsi. Nie lubił ich jednak zarówno Kościół katolicki, jak i protestanci, choć to właśnie z kół protestanckich wyszły pierwsze poważniejsze prace na ich temat. Ten negatywny stosunek do apokryfów znajduje odbicie w języku codziennym, gdzie słowo *apokryf* pozostaje symbolem czegoś nieprawdziwego, niestałego, niepoważnego, a ludzie zajmujący się nimi nie zawsze są traktowani poważnie. A jednak w XX wieku apokryfy weszły triumfalnie, nie bocznymi drzwiami, ale poprzez wielkie drzwi do świata nauki i powoli przekonują się do nich także teologowie.

Co to są apokryfy?

Apokryfy to utwory o tematyce biblijnej zarówno Starego, jak i Nowego Testamentu, ale nie należące do kanonu ksiąg Pisma Świętego (choć my ograniczymy się do apokryfów Nowego Testamentu). To utwory używające form literackich i języka biblijnego, których autorzy podają się często za postaci biblijne, a więc za naocznych świadków opisywanych wydarzeń. Trzeba wiedzieć, że apokryfy powstawały od starożytności do XX w. Typowym apokryfem z poprzedniego wieku jest powieść **Listy Nikodema** Jana Dobraczyńskiego. Być może już w XXI w. powstały jakieś apokryfy. My jednak zajmujemy się tutaj apokryfami starożytnymi.

Ogromną grupę stanowią utwory nazywane **ewangeliami apokryficznymi**. Apokryfy to dotyczą zasadniczo dwóch okresów życia Chrystusa: Narodzenia oraz Męki i Zmartwychwstania. Utwory należące do pierwszej grupy opisują narodzenie i życie Maryi aż do narodzenia Chrystusa, samo Boże Narodzenie, pokłon trzech Mędrców, ucieczkę do Egiptu oraz dzieciństwo Jezusa. Druga grupa apokryfów to te, które opowiadają o sędzi, śmierci, zstąpieniu do otchłani i zmartwychwstaniu Chrystusa; tu należy także cykl *Piłata* – a więc utwory mówiące o osobach związanych z męką: o Piłacie i jego żonie

Prokli, o Herodzie, Józefie z Arymatei, Weronice i innych. Istnieją też inne apokryfy typu ewangelicznego: do nich zaliczamy koptyjski opis śmierci św. Józefa i kilka utworów orientalnych. Do ewangelii apokryficznych zaliczamy także tzw. agrafa – słowa przypisywane Jezusowi; posiadamy także liczne, mniejsze lub większe fragmenty ewangelii apokryficznych.

Drugim blokiem utworów zaliczanych do apokryfów są dzieje apostołów. Ich tron stanowi pięć wielkich dziejów: Piotra, Pawła, Jana, Tomasza i Andrzeja z przełomu II i III w. Zachowane są w dużych fragmentach, z wyjątkiem kompletnych **Dziejów Tomasza** (mamy ich tekst zarówno po grecku, jak i po syryjsku). Obok nich znajdują się dzieje innych Apostołów, Ewangelistów i Uczniów Pańskich, często zawierające najbardziej nieprawdopodobne historie o ich cudach, podróżach. Zazwyczaj każdy z tych utworów dzieli się na opis działalności Apostoła i jego męczeństwa.

Niewielką liczbę utworów stanowią **listy apokryficzne**, pośród nich sławną korespondencja Pawła i Seneki, korespondencja Chrystusa i Abgara, średniowieczne listy Maryi oraz *list spady z nieba*.

Ostatnią grupę stanowią **apokalipsy apokryficzne**. Najślawniejsze z nich

to *Apokalipsa Piotra* z II w., Pawła (która była natchnieniem dla *Boskiej Komedii* Dantego) oraz Maryi. Zasadniczo utwory te opowiadają o podróżach ich bohaterów w zaświaty, niektóre mówią o skończeniu świata. Gatunek ten rozwinął się w średniowiecznym Bizancjum.

Co nowego wnoszą nam apokryfy?

Nim jednak na nie odpowiemy, musimy postawić inne pytanie: po co je pisano? Powodów było wiele.

Po pierwsze: były to utwory teologiczne wyrażające teologię przy pomocy obrazów, podobnie jak było w teologii żydowskiej. By jednak tę teologię zrozumieć, trzeba wejść w system symboliki tej kultury, w której powstawały.

Po drugie: były to utwory egzegetyczne, które starały się wyjaśnić, też przy pomocy obrazów, fragmenty Biblii.

Po trzecie: były to utwory polemiczne, np. *Protewangelia Jakuba* broni godności Maryi i jej świętości wobec niewybrednych zarzutów Celsusa potwarzającego kalumnie Żydów. I w końcu była to próba zapewnienia białych plam w Piśmie św., które przecież niemalże nic nie mówią o dziejach Maryi, o ucieczce do Egiptu, o trzech Magach czy o dzieciństwie Jezusa.

Tu znajdujemy odpowiedź na nasze pytanie: apokryfy niewiele poszerzają naszą wiedzę o postaciach Nowego Testamentu, bo to nie było ich celem. Natomiast mówią bardzo dużo o ludziach tamtych czasów, o ich pobożności i wierze i jakoś o teologii przez nich uprawianej, tyle że nie tej teologii przez nich uprawianej, tyle że nie tej teologii uczonej, ale teologii ludu, ludzi prostych. Są więc one źródłem wiedzy nie tyle o Jezusie, ile o tworzących je ludziach i o ich świecie myślowym. Nie znaczy to jednak, że wszystkie obrazy w nich zawarte potrafimy wyjaśnić. Na przykład nie wiemy, dlaczego w **Dzieciństwie Pana** (EwPsTm) Pan Jezus przedstawiony jest jako nieznośne dziecko, zatrudniające życie wszystkim swoimi cudami – być może ktoś chciał podkreślić za wszelką cenę wszechmoc Jezusa, zapominając o Jego miłości, dobroci

względem człowieka – a więc o tym, co Grecy nazywali *philantropia tou Theou*, a często nawet... o dobrym guście.

Filolog przystępujący do wydania tekstu jakiegoś autora starożytnego, np. Wergiliusza czy Cyserona ma przed sobą kilkanaście rękopisów zawierających tekst konkretnego autora, oczywiście z pewną ilością wariantów wynikających z pomyłek czy złego odczytania tekstu. Inaczej ma się rzecz z apokryfami. Ich tekst należał do wszystkich. Skryba, przepisyujący go, mógł coś zmienić, coś odjąć, przeredagować cud zbyt mało fantastyczny; heretyk – podcinał go w świetle swojej nauki a z kolei ortodoks – wycenzurował go w świetle ogólnie przyjętej doktryny. Ktoś coś dodał, ktoś inny skrócił, jak chociażby znany bp Tours – Grzegorz, który w VI w. w **Żywocie Andrzeja Apostoła** skrócił wszystkie mowy, bo wydawały mu się śmiertelnie nudne.

Apokryfy przekładano, a już przekład w starożytności znaczył po prostu sparafrazowanie tekstu. Ale nie tylko: tekst przystosowywano do mentalności ludzi danej kultury, i tak łacińska Ewangelia Pseudo-Mateusza zawiera zaledwie kilka epizodów z pobytu Św. Rodziny w Egipcie, natomiast Ewangelia Arabska dodała ich kilkanaście: resztę zrobiła późniejsza tradycja koptyjska i tak okazało się, że Święta Rodzina przez 3 lata i 7 miesięcy wędrowała po całym Dolnym Egipcie pokonując trasę liczoną na grube setki, o ile nie na tysiące kilometrów. Szukanie powodów tych zmian jest fascynujące.

Jaka jest wartość artystyczna apokryfów?

Zazwyczaj niewielka. Pisane są językiem prostym czasami wprost barbarzyńskim a z treścią różnie bywa: wielki wydawca apokryfów z XIX w. K. Tischendorf nie chciał wydawać jednego z apokryfów, uważając, że jest on za głupi. A przecież z drugiej strony obficie czerpał z nich Dante (i nawet z tak prymitywnego utworu jak *Zemsta Zbawiciela*); list Maryi do mieszkańców Florencji komentował Hieronim Savonarola, Giotto zaś w ikonografii Capella de-



gli Scrovegni opierał się na Protewangelii Jakuba. To tylko kilka przykładów, które uczą nas, że należy je nieco inaczej oceniać. Ale pośród apokryfów znajdują się utwory bardzo dobre, jak wspomina Protewangelia Jakuba, a fragmenty w **Dziejach Tomasza** czy modlitw do krzyża św. Andrzeja w jego Dziejach są utworami wprost świetnymi. Dodajmy, że metodę apokryficzną stosowali Jan Dobraczyński w **Listach Nikodema**, Selma Lagerlöf, a sławną scenę **Quo vadis?** zacerpnął Sienkiewicz z **Dziejów Piotra**, choć samego utworu nie znał.

Czytając apokryfy, trzeba na chwilę odrzucić maski: teolog niech zdejmie uczone okulary a filozof niech się uwolni ze swego świata skomplikowanych pojęć. Odrzućmy nasz naukowy sposób

widzenia i z prostą wiarą wczytajmy się w świadectwa wiary ludzi ponad półtora tysiąca lat – wiary prostej, choć i czasami naiwnej, pięknej, pełnej poezji oraz miłości do tych, o których jest w nich mowa. Spójrzmy na ich oczarowanie szczególnie Tajemnicą Wcielenia Pana. A gdy nas ogarną racjonalistyczne skrupuły, przypomnijmy sobie słowa poety, który – ponad sto lat temu – pouczał mądrych i zadufanych w sobie pozytywistów:

Choć otrząśnięcie kwiaty barwnych mitów

*Choć rozproszycie legendowy mrok,
Choć mgłę urojen zadrzecie z błękitów,
Ludziom niebiańskich nie braknie zachwyty,*

I dalej sięgnie niż wzrok...

(Adam Asnyk, **Do młodych**)

CHODŹ Z NAMI BUDOWAĆ KRÓLESTWO BOŻE! Misjonarze Św. Rodziny

zapraszają młodzież męską na **Wieczniki Powołaniowe**, które zbliżą Cię do Jezusa i pomogą rozeznac wolę Bożą we własnym życiu.

A oto terminy proponowanych spotkań:

9 – 11 maja ŚWIDER k. Warszawy

16 – 18 maja BĄBLIN k. Poznania

MATURYSTÓW, którzy poszukują własnej drogi życia, zapraszamy na **Dni Skupienia 25 – 29 kwietnia** (Kazimierz Bpi – Górka Kl.). Nim zaczniesz boje maturalne, najpierw siądź w stóp Mistra i wsłuchaj się w Jego głos.

Izabela Sikora

Cień Stalina

Piątego marca już od rana czuło się w powietrzu pierwsze podmuchy wiosny. Niby jeszcze zima: powietrze mroźne, białe płaty śniegu w parkach, ale zza chmur przebijało nieśmiałe słońce, załamując się na iglicy Pałacu Kultury. Zbliżając się od strony ul. Świętokrzyskiej, widziałam codzienną krzątanie u stóp kamiennego kolosa. Brylant podarowany miastu przez Wielkiego Towarzysza Stalina tkwił w sercu miasta jak olbrzymi dinozaur, zapomniany relikwiarz poprzedniej epoki. Wydzielający toksyny powolnego rozpadu, oblepiony prowizorką bud i blaszaków.

Decyzja o budowie zapadła w Moskwie w 1951 r. Od razu było wiadomo, że budynek musi stanąć w samym centrum miasta. Przygotowując się do budowy wyburzono czynszowe kamienice i przesiedlono ponad tysiąc osób. Burżuazyjny bałagan zastąpiono nowym – radzieckim porządkiem. Budowę rozpoczęto w maju 1952 r. Początkowo Pałac im. Józefa Stalina miał mieć trzydzieści pięter, ale ogarnięty manią wysokości naczelny architekt Warszawy Józef Sigalin wymógł na budowniczych o 12 pięter więcej, osiągając wraz z iglicą rekordowy wynik 230 m. Na tej najwyższej części zabijały się wiosną stada ptaków. Każdego ranka służby porządkowe zbierały martwe ptaki, w tajemnicy – żeby mieszkańcy Warszawy nie dopatrzili się w tym złego znaku. Budowę zakończono w 1955 r. i uroczystie oddano do użytku 22 lipca.

W międzyczasie okazało się, że towarzysz Stalin nie jest nieśmiertelny. Jego imię na frontonie dyskretnie zakamuflowano. Pozostał Pałac Kultury i Nauki, miejsce partyjnych zjazdów, kongresów, rocznicowych akademii i pierwszomajowych defilad. Jak donosiła prasa radio i telewizja: *pałac był prawdziwym cudem nowoczesności i postę-*

pu... Wizytówką Warszawy, chluba warszawiaków...

Piątego marca, w pięćdziesiątą rocznicę śmierci *Chorążego Pokoju*, mało kto pamiętał poematy, pieśni i treny, które wieściły wtedy koniec świata...

*Nic nie pójdzie z jego życia /w zapomnieniu /Jego Partia rozgarnia mrok / Niewzruszony drukarski znak /drzenia ręki mej piszącej /nie przekaże /nie wykrzywi go ból /za nie zmaże /A to słusznie, a to nawet lepiej tak... – rozpaczła noblistka **Wisława Szymborska** w utworze żalobnym *Ten dzień*.*

Konstanty Ildefons Gałczyński w wierszu *Umarł Stalin* napisał: *Placzą ludzie na ulicach. Ciężko. /Taki*

ciężar zwał się na ręce. /Placzą ludzie zwyczajni jak ziarno piasku. /A ci kochali go najgoręcej...

Pamięć o wydarzeniach sprzed pięćdziesięciu lat nie zaginała. W prawym skrzydle Pałacu Kultury, tam gdzie obecnie mieści się Teatr Studio, ktoś zawiesił plakat: *Dni Otwarte*. Na schodach pojawiły się gromady młodzieży. Chłopaki w *adidasach, rolkowcy, dre-siarze*, obok mole książkowe z wypchanymi plecakami, dziewczyny farbowane na blond i na rudo. Kolorowo i gwar-no. Nauczyciele przyprowadzili ich tutaj na lekcję najnowszej historii. W hoku głównym tłok do szatni, można wziąć gratis *Słowo o Stalinie* – kwintesencja wiadomości w opracowaniu *Karty* i aktualny egzemplarz *Rzeczpospolitej*. Pod czujnym wzrokiem wodza rewolucji rozłożyło się stoisko z książkami tzw. *Wyprzedaż Antystalinowska*. Wyżej, na galerii, wystawa fotografii archiwalnych i zdjęć Tomasza Kiznego *Czas Imperium* i *Planeta Kolyma* – tutaj gwar cichnie. Młodzi ludzie w skupieniu zatrzymują się przed czarno-białymi fotografiami. Na zdjęciach tłumy obdartych nędzarzy wyrabują tajgę, kopią kanały. Tak rosła nowa łagry – wszystko ku chwale Partii i Nieśmiertelnego Wodza. W lutym 1930 r **Rada Pracy**

i **Obrony ZSRR** podjęła uchwałę o budowie kanału łączącego Bałtyk z Morzem Białym. Kanał Białomorsko-Bałtycki miał mieć 227 km długości, z czego 37 km trzeba było wykuć w skalnym podłożu. Na życzenie Stalina miał być zbudowany szybko i tanio przy użyciu drewna i darmowej pracy więźniów. NKWD musiało pracować pełną parą, żeby w miejsce umierających jak muchy więźniów dostarczać tysiące nowych.

...Tak, Heinz, Kanał Białomorski /– nie ma się co ludzi /tam zginęło tak najmarniej /pół miliona ludzi... – śpiewał Jan Krzysztof Kelus, kiedy prawda o wielkich budowach komunizmu dotarła już do Europy.

Kanał ukończono 1 maja 1933 r. i uroczystie ofiarowano Stalinowi. Po oddaniu go okazało się jednak, że praca więźniów poszła na marne. Był zbyt płytki, by przetrwać nim duże okręty z Bałtyku na Morze Białe. Prace Tomasza Kiznego dokumentują ruinę systemu. Druty kolczaste, zrujnowane baraki łagrów, wiszące w powietrzu tory kolejowe *donikąd*, kawałki ludzkich kości. Zapomniane królestwo śmierci. Dalej znów zdjęcia archiwalne. Gromadka młodzieży z nauczycielką zatrzymała się przy kąciku Pawlika Morozowa. Dziś prawie zapomniany Pawlik był świetlaną postacią Związku Radzieckiego. Działając w drużynie pionierów, tak przejął się hasłami socjalistycznej czujności, że zadencjonował władzom swojego ojca – *wroga klasowego*. Ojciec Pawlika krytykował radziecką władzę i popierał kulaków. Zabrano go do obozu pracy...

– A co z Pawlikiem? – zapytał ktoś nieśmiało.

– Pawlika wykończyli po cichu sąsiedzi...

– Biedak...

– Nie mieli innego wyjścia. Przecież by wszystkich wysłał do obozu...

Zza kolumny słyhać dźwięki *Marsza Żalobnego Chopina*. Kronika archiwalna przypomina pogrzeb towarzysza Stalina. Warszawa w żalobie, Pałac Kultury spowity czarnym kirem. Płyną zapłakane tłumy, setki wąsatych por-

trętów, dziesiątki transparentów. Warszawskie dzieci zapewniały: *Będziemy zawsze postępować, jak uczył Stalin... – Mijmy nadzieję, że nie dotrzyliśmy tego zobowiązania – wdycha starsza pani.*

– Niektórzy dotrzymywali. Przecież komunizm nie skończył się ze śmiercią Stalina.

– Trzeba o tym przypominać!

Nigdy nie wiemy, do czego historia doprowadzi. Czasem dobrze jest opowiedzieć, do czego doprowadziła – mówił Czesław Bielecki, przewodniczący rady Fundacji SocLand, która buduje w Polsce muzeum komunizmu. Fundacja otrzymała wsparcie finansowe z Komisji Europejskiej, wspomagają ją Ośrodek KARTA i wielu mniejszych sponsorów... – Mam pieniądze na stworzenie wystawy, która będzie zapowiedzią muzeum komunizmu. Uważamy, że powinno ono powstać w Pałacu Kultury. To cień Stalina nad Warszawą...

Kiedy opuszczałam Pałac Kultury, świeciło jasne słońce. Spragnieni zakupów konsumenci zapuszczali się do wnętrza hal targowych. Kwiaciarki sprzedawały na straganach kolorowe tulipany. Cień Pałacu Kultury trochę się skurczył, ale przecież nie zniknął. Czekał cierpliwie do wieczora, kiedy zapadną ciemności nad miastem. Na zakończenie wystawy 5 marca 2003 r. o 18.15 zaplanowano konstrukcję świetlną, tzw. *wieżę wolności*, która miała przesłonić mury PKiN. Przed Teatrem Studio mieli zebrać się warszawiacy, żeby wysłuchać wystąpienia prezydenta Warszawy Lecha Kaczyńskiego. Miał być *Apel poległych narodów* i *Hymn wolności* grany przez Zbigniewa Namysłowskiego.

Zapowiedziano transmisję uroczystości w TVP3 – programie lokalnym publicznej telewizji. Chcąc obejrzeć uroczystość, już o 18.00 zasiadałam przed telewizorem. Niestety, na próżno. Nie doczekałam się transmisji, ani nawet najmniejszej wzmianki w lokalnych wiadomościach (choć wiadomo, że spotkanie się odbyło). Jakby nic się nie wydarzyło. Cień Stalina znowu wisiał nad Warszawą...

CHWILA MUZYKI

III Przykazanie

Pamiętaj, abyś dzień święty święcił – mówi Pan. Odpoczynek po pracy jest jednym z elementów upodabniających nas do Stwórcy. W kulturze judeochrześcijańskiej dzień ten traktowany jest niezwykle poważnie; naruszenie szabatu prawowierni Żydzi gotowi byli karać śmiercią. Dlaczego właśnie ten dzień odpoczynku, a nie praca, postawiona na piedestale szczególnie w kulturze Zachodu ma nas upodabniać do Stwórcy? Cóż może być złego w tym, że chcemy jeszcze więcej pracować, tworzyć, mieć?

Trudne zadanie mają szczególnie muzycy, ponieważ ich praca służy do umiłania wolnego czasu innym. Pracują więc wtedy, kiedy inni odpoczywają lub świętują. W czasach, kiedy ludzie jeszcze dbali o sprawy duchowe, organicy zalałowili sobie specjalną dyspensę, na mocy której mogli, bez narażenia na grzech, akompaniować do Mszy św. w niedziele i święta.

Jeżeli założymy, że jednym z celów *dnia świętego* jest nabranie dystansu do pozostałych sześciu dni, co ma umożliwić, jak zauważa Norwid: *od-poczęcie, czyli rozpoczęcie-od-nowa*, to okaże się, iż muzyk może zyskać bardzo wiele, wprowadzając do swojej sztuki praktykowanie tego dnia. Praktyka ta może polegać na oczyszczeniu jego muzykowania z chałtury czy z elementów przypadkowych których – niejednokrotnie – wstydzi się sam grający. Może polegać na pójściu do źródeł własnej muzyki – choćby i pod prąd, jak pięknie mówi Ojciec Święty – i usłuszeniu, o co nam naprawdę, na początku w niej chodziło, a następnie na skonfrontowaniu tego, co znajdujemy, z odbiorcą, takim, jaki jest nam dany.

Aż strach pomyśleć, jaką muzykę słyszelibyśmy w niedziele i święta, gdyby choć część artystów postanowiła tworzyć *od-począć*. I aż miło pomyśleć, ilu nieciekawych wrażeń dźwiękowych uniknęlibyśmy z tych samych powodów. Drodzy artyści, nie przemęczajcie się tak dla ludzkości! Odpocznijcie czasem!

Maria Szreder



foto: I. Sikora

PRZEZ ŻYCIE Z ANIOŁEM

O Sidzinie mowa po raz pierwszy w XI wieku, a konkretnie w tzw. dokumencie legata papieskiego Ldziego. Wśród 25 wiosek należących do benedyktynów tyńskich wymienia się tam między innymi Sycynę obfitującą w złoza solne i liczne karczmy. Jednak ani solanka, ani tym bardziej karczma, nie ostały się do naszych czasów. Przez dziesięć wieków była sobie Sidzina sympatyczną podkrakowską wioską. Nie działo się tam w zasadzie nic ciekawego, a i żaden wielki człowiek z Sidziny nie wyszedł. Fortuna, jak wiadomo, kołem się toczy i w roku 1974 uśmiechnął się los do sidzinian: miejscowość włączono do Wielkiego Krakowa. Po otrzymaniu statusu osiedla autochtoni postanowili nosić się z miejską i na gwałt jęli przekwalifikowywać mizerne poletka na grunty budowlane. Nic dziwnego, bo popyt na dziesięcioarowe działeczki przeznaczone pod domy jednorodzinne gwałtownie wzrósł.

Anioł ulicy Topografów

Przez lata całe ulicę posiadała Sidzina jedna, niejakiemu Mieczysławowi Wrony, prawdopodobnie zasłużonego dla okolicy trybuna i działacza ludowego. W miarę powstawania nowych domów zaczęło przybywać także ulic: Żywna, Chlebiczna, Nałkowskiej, Solówki, Petrażyckiego, Topografów. Ta ostatnia nazwa, z pewnością najbrzydsza, zdaje się sugerować, jakby została nadana w roku 1945 przez wyzwolenicze oddziały Armii Czerwonej.

Prawda tymczasem jest inna. Marian Pałka, najstarszy stażem mieszkaniec ulicy pamięta, że pewnego dnia pojawił się w kanarkowym Moskwiczu łysawy urzędnik. Z niesmakiem wygramolił się z auta, wy dobył z przepastnego bagażnika maszynę do pisania i z pasją godną gorliwego referenta zaczął tłuc w klawisze. Po kwadransie mozolnej pracy wręczył zdumionemu Marianowi kopię pisma, z którego niedwuznacznie wynikało, że ścieżka, przy której mieszka, staje się odąd ulicą Topografów. – Zaraz, zaraz! Można wiedzieć dlaczego Topografów? – zapytał grzecznie Marian Pałka.

Urzędnik przystanął i odwróciwszy się na pięcie spojrzął z ukosa na swego rozmówcę. Ten natychmiast pożałował swej dociekliwości, ale było już za późno. Wielki urzędnik sięgnął do kieszeni i wy dobył z niej zatłuszczoną kopertę. Rozwinął ją z najwyższym namaszczeniem i objawił światu wielką okrągłą pieczęć. Wyrwał zachwyconemu Marianowi dokument i z całych sił odcisnął czerwonego orla.

– *Taka jest historia nazwy naszej ulicy.*

Nigdy nie dowiedziałem się, dlaczego akurat Topografów, a nie dajmy na to Typografów. Nie miałem odwagi pytać, wielka kiedyś była siła urzędów – zakończył opowieść Marian i potoczył okiem po zafrasowanych minach młodszych mieszkańców.

– Musimy zmienić nazwę – krzyknęła wojowniczo Jolka, ukochana przez całą sidzińską społeczność sąsiadka Pałki.

– Z tym będzie trudna sprawa – odparł Krzysiek Bętkowski. – Zwróćcie uwagę, że taka ulica Wrony ma trzy przydrożne kapliczki, a Topografów żadnej. Ulica z kapliczką posiada wielką godność i łatwiej byłoby wówczas zmienić nazwę. Musimy zacząć od postawienia przydrożnej kapliczki.



foto: P. Zyczeński

– Nie w tym problem – włączył się milczący dotychczas Antoni Kot. – Mogę zbudować siedem kapliczek, a i tak nic to nie pomoże. Ludzie! Czy wy niczego nie rozumiecie? Czy nie rozumiecie, że trzeba mieć jakąś tam kapliczkę, ale patrona. Najlepiej, aby to był prezydent, obojętnie jaki. Zauważcie, że słowo prezydent brzmi pięknie we wszystkich językach i rozwiązuje natychmiast nierozwiązywalne pozornie problemy.

– A skąd my ci wytrząśniemy prezydenta? – zapytała rozsądna, jak zawsze, Jolka. – Dlaczego nas znów drażnisz, ty stary prowokatorze?

Nie wiadomo, jak dalej rozwinięłyby się sytuacja, gdyby nie nastąpił nagły

zwrot sytuacji.

– Może wystarczą anioł – zaproponował czyjś nieśmiały głos z tłumu. – Tradycja mówi, że w zrujnowanej wieży w Skotnikach mieszka anioł Sandalfon. Przeprowadził tam ostatnio remont i piękną niedgdy wieżę oszpecili satelitarnymi czaszami, wymalowali na niebiesko i przerobili na stację przekąsnikową telefonii komórkowej.

– Na miejscu tego Sandalfona wyprowadziłbym się natychmiast – zawyrokował Antoni. – Podejmuję zatem decyzję, że anioł ów staje się patronem naszej ulicy. Czy są sprzeciwnicy?

Nawet jeżeli ktoś miałby wątpliwości, to bałby się nimi dzielić przy powszechnym entuzjazmie i aplauzie mieszkańców. Zdecydowano jeszcze, że na pamiętkę historycznego zdarzenia corocznie odbywać się będzie Święto Ulicy.

Trzeba przyznać, że odkąd anioł Sandalfon został patronem, w okolicy zaczęło dziać się lepiej. Może to przypadek, ale zajaśniała światłość i to dosłownie: zainstalowano elektryczne oświetlenie. Inwestycja przez kilkanaście lat nie mogła zostać zrealizowana z powodu wysokich kosztów przekraczających skromny budżet. Dokładnie w tym samym czasie ruszyła z kopyta sprawa kanalizacji. Wcześniej ślimaczyła się ona tak długo, że nawet najwięksi optymiści stracili nadzieję.

Innym, jeszcze bardziej spektakularnym przykładem anielskiej opieki może być pożar w budce dróżnika, a było to tak. Swego czasu w opuszczonym przez PKP domku dróżnika zainstalowała się grupa złodziei i obiboków. Przez kilka lat mniej lub bardziej nieudolnie okradali oni mieszkańców osiedla. Zawsze przy tym wyrządzone szkody były większe od wartości skradzionego mienia. Wszystko działo się w poczuciu całkowitej bezkarności i niemocy. Nieudolna policja, doskonale znająca tę sytuację, zaślaniała się bzdurnymi przepisami i swe interwencje zwykła kończyć na spisywaniu protokołów. Pewnego zimowego popołudnia budka dróżnika spłonęła, szczęśliwie nikomu nic się nie stało. Pozbawieni swej jaskini zbójce rozproszyli się w poszukiwaniu nowych

siedzib. Od tego czasu cała okolica stała się nad podziw spokojna i bezpieczna.

Podobnych przykładów dyskretnej obecności patrona można przytoczyć więcej. Dla jednych będą one wystarczającym dowodem istnienia niewidzialnego świata, dla sceptyków pozostałą zbiegiem okoliczności, szczęśliwym przypadkiem nie wymagającym interwencji sił nadprzyrodzonych.

Nic nie dzieje się jednak bez końca, a wspomniana fortuna ponownie zakreśliła kółkiem. Mieszkańcy zorganizowali na początku lata Święto Ulicy. Mimo niesprzyjającej początkowo aury udało się ono nadspodziewanie dobrze. Były mecze piłki nożnej i siatkówki, maraton dowcipów i konkurs ciast, całonocna biesiada. Piękne dziewczyny tańczyły na stołach, ale najlepszym tancerzem okazał się tak Bogdan Kopytko. Wszyscy byli zadowoleni, a cel – integracja mieszkańców – został z pewnością osiągnięty. Również w następnym roku opiekuńczy duch ulicy był obecny na święcie i także wszystko przebiegło bezkolizyjnie. O czarnych chmurach wiedzieli tylko niektórzy. Festyn odbywał się tradycyjnie na obszernej łące, zamienianej latem przez młodzież na boisko, miejsce rekreacji i towarzyskich spotkań. Kilku ponurakom z sąsiedniej ulicy Zygmunta Zientary przeskadzali jednak radosne śmiechy i widok zadowolonych młodych ludzi. Doprowadziła ich cichcem do likwidacji boiska: po prostu zadreżyli właścicielkę donosami i ta nakazała łąkę zorać. Co praw-

da udało się załatwić inny teren, ale kręcono nosami. Gwóźdźmi do trumny okazał się puchar zdobyty w konkursie tańca przez córkę księgowej. Połowa Rady Programowej Święta Ulicy Topografów zbagatelizowała ustalone wcześniej zebranie i poszła świętować niespodziewany triumf roztańczonej primadonny. W taki oto sposób prywatna wzięła górę nad dobrem ogółu. Podobnie jak na innych osiedlach, każdy uprawia dziś swój ogródek. Ludzie ponownie stali się sobie obcy i anonimowi. Obudzony duch ulicy nie ma co z sobą zrobić. Spaceruje bez celu, przystaje pod latarniami, unosi się nad zaoranym boiskiem i, niestety, coraz bardziej czuje się niepotrzebny.

Wiemy z Pisma Świętego, że swoich opiekuńczych aniołów posiadają ludzie, ale także i miejsca, jak kościoły, państwa, miasta. Nie ma powodu wątpić, że swego anioła nie może mieć ulica Topografów, Aleje Jerozolimskie, Wall Street, a nawet polna dróżka. Każda społeczność ludzka potrafi stworzyć duchowe wibracje przechodzące na otoczenie. Może dlatego istnieją takie zakątki, w których czujemy się świetnie: dopisuje humor, nie czuje się zmęczenia, a czas upływa szybko i przyjemnie. Są przecież miejsca zgoła inne; najchętniej natychmiast ucieklibyśmy od nich jak najdalej, to miejsca opuszczone i niekochane, istna ziemia niczyja.

Herbert Oleschko



*Twym zmartwychwstaniem żyję! Ono śmierć
Mojego życia w Twoje życie zmienia –
I oddech Twój rozszerza moją pierś,
I światłość Twa mą ciemność rozpromienia.*

Wojciech Bał

Pełni radości paschalnych w przeżywaniu Tajemnicy Zmartwychwstania Pańskiego, pokoju i spokoju Czytelnikom, Współpracownikom i Przyjaciołom

życzy Redakcja PiP

Dziękujemy, Profesorze

Każde odejście ma to do siebie, że trudno o nim mówić. Szczególnie trudno mówić o odejściach osób bliskich. Zwłaszcza, gdy kawał swego życia – po prostu – nam podarowali. Ale mówić trzeba.

Pan Lech Falandysz podarował nam kilka lat swojej intelektualnej, pisarskiej i (trzeba to podkreślić!) patriotycznej aktywności. Całe środowisko *powściągliwościowe* obficie czerpało z bogatych obszarów Jego osobowości. Gdy regularnie przychodził na kolegia redakcyjne do siedziby *PIP* przy Skwerze Kard. Wyszyńskiego i kładąc, jakby od niechcenia, kolejny plik materiałów do publikacji, mówił: – *Kochani, przyniosłem znowu trochę moich szpargałów. Może się przydadzą...*

W tej niepozornej skromnej postaci w szarym sweterku trudno było dopatrzeć się znanego prawnika, profesora, publicysty... To był po prostu przyjaciel, do którego się szło w każdej chwili, z każdą wątpliwością.

Na łamach *Powściągliwości i Pracy* był prawdziwym profesorem, który, w formie felietonowej, przywoływał różne fragmenty prawa polskiego i międzynarodowego, jakby podpowiadał, że w naszej PRL-owskiej rzeczywistości można było się prawem posłużyć. Często całe fragmenty jego tekstu znikaly po cenzurze. Ale kilkuletni cykl owych *powściągliwościowych* wykładów wielu Polakom, w tym również i nam – redakcji – pomógł podpieścić się paragrafami w potrzebie. Czytając felietony, dowiadaliśmy się sporo o międzynarodowych konwencjach prawa, w tym o *Konwencji Praw Człowieka*. I to wszystko z *pierszej ręki*. Między innymi właśnie te felietony nadawały *PIP* wysoką rangę i przyciągały Czytelników ze środowisk *solidarnościowych*.

Dziś wyrażamy głęboką wdzięcz-

ność całego naszego środowiska. Od siebie i od wielu Czytelników naszego pisma. **Bóg zapłać, Profesorze!**

Ale przyszedł czas wolności. Pan Lech musiał pożegnać się z naszym zespołem. W niepodległej Polsce czekały na Niego obowiązki ważniejsze. Służba Narodowi. W Kancelarii Prezydenckiej stał się jakby *mierniczym* wielu spraw ludzkich. Bowiem wielu, zachłyszniętych wolnością, zbyt łatwo skłaniało się do przekraczania granic prawa.

Pan Lech zawsze mówił, że bliższy mu jest duch prawa niż jego litera. Stąd miewał różne trudności. Był politykiem przenikliwym. Potrafił, poprzez żelazną logikę faktów, przewidzieć losy naszej młodej demokracji na całe lata w przód. Lubił powtarzać, że demokracja jest trudnym, może nawet niedobrym systemem, ale, jak dotąd, nikt nie wymyślił lepszego, więc trzeba ją ciągle naprawiać.

Kiedys po spotkaniu ze środowiskiem *solidarnościowym* na Bemowie udało nam się zrobić wywiad z Panem Lechem – człowiekiem Kancelarii Prezydenta RP. Prezentowaliśmy ten materiał w *PIP* pod tytułem: *Szansa na Polskę*. Dziś powróciłem do tego tekstu. I jestem pod jego ogromnym wrażeniem. To jakiś scenariusz dziejów Polski rozpisany na kilka lat. Czytałem go jak reżyserski plan kolejnych kadrów filmu, który albo się już spełnił, albo *dzieje się* w tej chwili, na naszych oczach. Pomyślałem sobie: szkoda, że tak wielu znaczących polityków tak łatwo wykreśliło z porządku społecznego i prawnego Ojczyzny wiele też Profesora Falandysza. Jakże często racja była po jego stronie. Można powiedzieć tylko: szkoda!

A Pan Lech – jakże skromnie i z pewnym zażenowaniem, przepraszając zespół, odchodził do pracy politycznej – potem wraca do swojej codzien-



foto: P. Zwoleński

ności, czyli na uczelnię, gdzie znowu jest znaczącą postacią. Przyczynia się do budowania nowych dróg rozwoju wyższych uczelni, by mogły stawiać czoło wyzwaniom czasów, które nadchodzą.

I jeszcze jedno. We wspomnianym spotkaniu na Bemowie często wracał do problemów rodziny, a gdy ktoś wspominał, że ks. Markiewicz proponował budowanie struktur na modelu rodziny, Profesor powiedział: – *Święte słowa, ale kto to potrafi, skoro nawet świątobliwym założycielom zakonów z trudnością to przychodziło? A ja też swoją kochaną rodzinę co dzień katuję moją nieobecnością. Więc – pozwólcie, że udam się do rodziny!*

Tak pamiętamy Lecha Falandysza: profesora, polityka, przyjaciela, dobrego człowieka, ojca rodziny (sporej zresztą).

Dziś chciałoby się powiedzieć, że stajemy wobec wielu pustych miejsc. Trudnych do zagospodarowania. Póki co, zbieramy wspomnienia i dziękujemy Bogu za dar Tego człowieka. Jemu zaś za to, że był z nami. Ze ofiarował nam spory fragment swego życia, za tą prostą naukę, iż **prawo jest dla człowieka, a nie człowiek dla prawa** – nawet doskonałego. Wreszcie i za to, że do naszej wspólnoty wpisał się najdosłowniej. Nadzieja chrześcijańska każe nam spodziwać się ponownego spotkania w świecie doskonale uporządkowanym.

ks. Mieczysław Gładysz CSMA

Ktoś, kto przeżył lata w *komunie* i miał nadzieję, że zniknie bajdurzenie a rzeczywistość publicystyczna będzie odpowiadała tej za oknem, mylił się. Zmyślenia – tym razem nie totalitarne, a demokratyczne – mają się dobrze.

KSENOFOBIA, czyli *przesadna niechęć, wrogość w stosunku do cudzoziemców i cudzoziemszczyzny* (jak definiuje ją słownik wyrazów obcych) – to jedno z najczęściej przywoływanych dzisiaj słów-zaklęć, mających odpedzić złe moce, zapobiec złym, ksenofobicznym czynom, temat dyżurny wywoływany przy każdej okazji i bez okazji przez publicystykę częstotliwych pism. Obserwując częstotliwość, z jaką słowo *ksenofobia* występuje np. w *Gazecie Wyborczej* (ale także i w innych gazetach oraz w ogóle w mediach), można dojść do wniosku, że Polacy odnoszą się do cudzoziemców niechętnie, wrogo i bez sympatii.

Nie śmiać, oczywiście, wątpić w prawdziwość doniesień o szerzącej się i zagrażającej nam *ksenofobii*, postanowiłem sprawdzić, w jakim stopniu kreowany przez media obraz odpowiada rzeczywistości. Chciałem się dowiedzieć, gdzie też owa niechęć do obcych w Polsce występuje, w czym i jak się przejawia.

Po lekturze artykułu w *GW* byłem przekonany, że za chwilę zobaczę rzeczy, jeżeli nie straszne to z pewnością bulwersujące, jednakowoż przed domem niczego nie zauważyłem. Ukraińcy i Rosjanie, Wietnamczycy, Ormianie handlowali jak co dzień, jak od lat, jakby nieświadomi grożącego im niebezpieczeństwa. Ich klienci, mieszkańcy sąsiednich domów i przypadkowi przechodnie, przyglądali się oferowanym towarom, pytali o ceny. Jeśli objawy niechęci były zauważalne, to ze strony stróżów porządku – **Straż Miejska** zbierała mandaty od handlarzy nie mających stosownych zezwoleń – bez ksenofobii.

Ale dalej też było podobnie: w wietnamskim barku przy bazarze robotnik z pobliskiej budowy zamawiał kurczaka z bambusem, pani z poczty czekała

na *sajgonki*. Wietnamczyk był uśmiechnięty, klienci wyglądali na zdowolonych, jakieś szczególnej antypatii do żółtoskórego obcokrajowca za ladą nie odnotowałem.

Nieopodal, w nowopowstałym tureckim barku atmosfera również nie była niemiła. Właściciel – ryzykant – widać nikt go nie ostrzegł, czym grozi w kraju ogarniętym zarazą ksenofobii zakładanie interesu, nie czytał też pewnie polskiej prasy, a na pewno *GW* od lat donoszącej o wrogości miejscowej ludności do obcokrajowców. Nieświadom zagrożenia przyrzadzał *kebaby*.

Ksenofobia

Jacek Lilpop

W innych miejscach było podobnie. Aż trudno uwierzyć, tyłu ryzykantów?

A może na *Stadionie Dziesięciolecia* – pomyślałem – może tam, w tłumie skryła się piętnowana ksenofobia? Tłumy, owszem, były: i kupujących, i sprzedających, ale spokojnie – żadnych, awantur, agresji, potyczek słownych, urażeń, wygrażeń pięściami, wyzwiąsk, nieprzyjaznych gestów. Więc może się skryła gdzie indziej?

Kontynuowałem dziennikarskie śledztwo. Dziesiątki wietnamskich sklepików, knajpek, tureckie bary, grecka, egipska, arabska, syryjska kuchnia, tysiące obcokrajowców od lat na ulicach polskich miast – Rosjanie, Ukraińcy, Kazachowie, Wietnamczycy, Rumuni, Bułgarzy, twarze żółte, czarne, skośnoocye, tłumy obcokrajowców od trzynastu lat na ulicach, placach, na targowiskach, od lat też ukraińscy robotnicy obok polskich zgodnie pracują na budowach, a w gazetach czytam, że ksenofobia.

Przemierzając miasto ze wschodu na zachód, z północy na południe, zaglądając tu i tam, tropiąc i wypatrując, przysłuchując się toczonym rozmowom, a nawet, wstyd przyznać, pod-

śluchując (ale czego się nie robi dla dobra dziennikarskiego śledztwa!), dostrzegam, że nie dostrzegłem szczególnej sympatii do cudzoziemców, ale również nie zauważyłem ani niechęci, ani wrogości w stosunku do nich. Częstsza była obojętność.

W porównaniu z tym, co się słyszy o sytuacji na Bałkanach, na Bliskim Wschodzie, w miastach na południu Francji, w Irlandii, na Korsyce, w Los Angeles, w krajach Azji i Afryki – moje miasto wydało się oazą spokoju i normalnych międzyludzkich stosunków.

Więc jak jest z tą nagłaśnianą od lat *ksenofobią*? Ja jej nie znalazłem. Pytam zatem: dlaczego, w imię jakiego dobra, obraz tak dalece od rzeczywistości odbiegający z rzeczywistością polskich realiów, tak nieprawdziwy jest w niektórych mediach (z podziwu godną konsekwencją) kształtowany i w świat eksportowany? Czym te media, walcząc z wyimaginowaną polską *ksenofobią*, kreują mój, mieszkańca tej krainy, nieprzychylny wizerunek, tworzą jakiś dziwaczny, niewiele z rzeczywistością mający wspólnego, w istocie nieprzyjazny Polakom i Polsce mit?

Jakiś czas temu, żeglując po wodach Norwegii, a potem Danii, widziałem nad brzegami domy i letniskowe domki Norwegów i Duńczyków przystrojone flagami narodowymi. Udekorowane tak były nie z okazji narodowego święta, ale zwyczajnie, na co dzień. Właściciele domów wyraźnie byli dumni z tego, że są Norwegami, Duńczykami i że mieszkają w krajach, które nazywają się Norwegia i Dania. Nie obawiali się posądzenia przez jakąś miejscową *wyborczą gazetę o nacjonalizm czy ksenofobie*.

Zobaczywszy te flagi, pozazdrościłem Norwegom i Duńczykom ich codziennej, zwykłej dumy, nie nacjonalistycznej ani niechętniej obcym, lecz wyrażającej naturalną i zwyczajną przynależność do wspólnoty i więź tę, to poczucie swojej tożsamości w ten właśnie sposób – symbolicznie, flagami narodowymi zatkniętymi na dachach letniskowych domków – wyrażających. ■

Henryk Iffing

Korupcja i kindersztuba

Na sto dni przed referendum, obok *euroentuzjastów* i *euroceptyków*, pojawiła się trzecia kategoria, tych którzy do **Unii** nie chcą, ale z całkiem innych powodów. Tych powodów wszakże trudniej dociec niż prawdy w pracach Sejmowej Komisji Śledczej, wokół tak zwanej afery *milczka* Rywina. Podobno – jak wykazują dochodzenia dziennikarskie – sprawa ta przedstawia się zgoła inaczej i powinna nosić kryptonim: *Przyszłi Michnik do Millera*. Nie sposób wszakże ukryć pewnego rozbawienia, gdy tu i ówdzie lansowany jest pogląd, jakoby premier, niczym żona Cezara, była poza wszelkim podejrzeniem. I chyba tylko z tego powodu nikt nie napomknie nawet słówkiem o głośnej niegdyś reklamówce z moskiewskimi dolarami.

Tymczasem, ktoś z dziennikarzy znów mruga filuternie śledczym oczkiem, dając do zrozumienia, że za całą sprawą stoi jak mur *Ordynacka*, a *Brunatny Robert* i *Czupryniasty* to tylko zwykli żołnierze. Ja jednak w to nie do końca wierzę, bo przecież u pani redaktor Janiny Paradowskiej z *Polityki* zostałby jakiś ślad po usunięciu kolejnego akapitu. Z drugiej jednak strony – jak powiada Tevi Młeczczar – dotychczas jedynym *rozdającym karty* jest ciągle szef pewnej gazety i jego *platońska* Spółka. Potwierdza to najwyraźniej zwołane w trybie nadzwyczajnym tajne posiedzenie *Kancelarii z Pałacem*, co świadczy nad wyraz dobitnie o powadze sytuacji i poniekąd pozwala przypuszczać, że gdzieś tu, w **obszarze prawa, wolności i demokracji**, ów, bulwersujący opinię, korupcyjogenny *Medorek* został *pogrzebany*, tym razem na dobitkę z wicepremierem Kalinowskim i jego farmerską partią. Pewnie dlatego, że *brudy najlepiej prac w rodzinie*.

Z dotychczasowych przesłuchań Sejmowej Komisji Śledczej wiemy już na pewno, że szef *Gazety* nie tylko łapówek

nie daje, lecz także ich nie bierze... Świadkiem koronnym w sprawie jest tu poseł Bogdan Kopczyński, który na oczach ponad milionowej widowni zapewnił Komisję, cytując: *Pan Michnik nie bierze łapówek, znam to z autopsji...* W tej sytuacji poseł Roman Giertych, jako adwokat, nie powinien się dziwić, że *świadek koronny podlega ochronie* i jako taki, nawet dla zachowania partyjnych parytetów, nie może być odwołany...

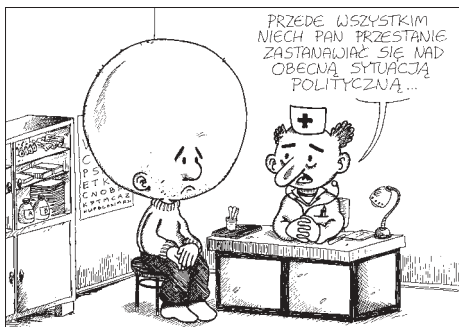
Nawiasem mówiąc, z tymi parytetami też jest nie najlepiej. Przecież do pierwszego składu Komisji nie została powołana ani jedna kobieta, już nie mówiąc o mniejszościach. Należy zatem przyklasnąć decyzjom posła Kalisza z **SLD** i posła Smolany z **Samoobrony**, że przynajmniej oni odstąpili miejsca w Komisji swoim partyjnym koleżankom. Poprawi to z pewnością oglądalność tego programu i przysporzy **TVP** reklamodawców. Niestety, tak znakomicie prosperujący *reality show*, konieczne czemuś chce zdemontować lider **LPR**, poseł Roman Giertych, domagając się rozwiązania Sejmu tej kadencji. Czyżby i on aż tak bardzo zazdrościł **Gazecie**, że to do niej, a nie do jego redakcji przyszedł Lew Rywin?

Wracając do kwestii integracji z **Unią**, wypadnie dodać, że w międzyczasie objawiło się, obok trzech już wymienionych na wstępie, kolejne odkrycie jeszcze jednej, **czwartej kategorii**. Należą do niej ci, którzy również do **Unii** chcą, ale z całkiem innego powodu i któ-

rych, jak się okazuje, nawet nie zraża, mówiąc delikatnie, arogancja prezydenta Francji.

Otóż, jak wiadomo, ów republikański admirator Rosji, który zarówno Putina, jak i Saddama przedkłada nad własnego Le Pena, wpadł w szal i zwymyślał Polskę od ostatnich za udział w zbrojnym *liście osmiu*, nie bacząc na to, że to przecież *solidarnościowa* tradycja... Ale, przedstawiciele owej, czwartej kategorii mówią, że trzeba zrozumieć człowieka. W końcu i świętego by nerwy poniosły, gdyby jego *wujkowi ktoś sprzątnął sprzed nosa kontrakt stulecia na wielozadaniowy samolot bojowy*. Tym bardziej, że już jakoś tak się utarło, iż od dwustu lat Francja, bez mrugnienia okiem, inkasuje polskie należności, počawszy od *bajonskich sum*, a skończywszy choćby na biznesowych i politycznych udziałach i reparacjach wynikających z wkładu w zwycięstwo nad Niemcami w II wojnie światowej.

Tymczasem arogancka Ameryka, nie dość, że z mocarstwowości wszystkich na starym kontynencie odarla, to teraz jeszcze na Europie Środkowej, jak na wolnym rynku, łapę kładzie... I po iracką ropę sięga... A ponieważ dzentelmeni o pieniądzach nie mówią, tematem ekspresyjnych monologów pozostaje dobre wychowanie... Tych zaś, którym lekcja prezydenta Francji nie wystarcza i chcieliby się czegoś więcej nauczyć, polecamy reprezentatywną, a prezentowaną w internecie, rozmowę dwóch luminarzy polskiej kultury, Adama Michnika i Lwa Rywina, której jeszcze nie zdążył zrecenzować prof. Jan Miodek. ■



rys. K. Kumbik

IN FLAGRANTI

Wielki Szu

No i doczekaliśmy się – po trzynastu latach budowania niby-nowego państwa zbiednieliśmy straszliwie. Wielu ludzi święcie więc wierzy, że *za komuny było lepiej*.

Przeciwnie – w naszym kraju jest bardzo źle i będzie jeszcze gorzej dlatego, że nie usunięto, gdy było można i było trzeba, wielu mechanizmów *peerełowskiej* gospodarki socjalistycznej. Jej głównymi dążeniami są:

1. Nietolerowanie własności prywatnej, bo jedyny właściciel to państwo – dlatego dziś proces reprivatyzacji jest już prawie wstrzymany,

2. Odbieranie społeczeństwu dostępu do narzędzi wytwarzania, najlepiej bowiem jeśli ludzie będą zatrudniani za grosze w sektorze państwowym – dlatego dzisiaj w wielu dziedzinach gospodarki obowiązują wszelakiego rodzaju koncesje i zezwolenia, a biurokracja trzyma na uwięzi mały i średni biznes,

3. Centralne zarządzanie gospodarką: podażą, popytem, cenami i tworzenie *kiszczycowych*, to znaczy bezbaczenia na aspiracje i potrzeby społeczne systemów podatkowych – tak jak dzisiaj w ministerstwie finansów pichci się od czterestu lat różne reformy, strategie, pakiety Balcerowiczowsko-Osiatyńsko-Steinhofowsko-Baucowsko-Kołodkowskie,

4. Ustawiczne pozorowanie rozdzielania pomocy potrzebującym – dlatego dzisiaj pomoc socjalna państwa polega na braniu od jednych i dawaniu drugim przy zaprzepaszczaniu krociowych sum na prowadzeniu tego rodzaju działalności *charytatywnej*.

Krzysztof Rybiński, młody, mądry ekonomista, dowodzi, że tkwimy w błędnym kole: *wysokie wydatki socjalne ograniczają motywację do poszukiwania pracy, zatrudnienie jest małe, wobec tego zatrudnieni muszą płacić*

wysokie podatki i składki ZUS; pracownik jest drogi, więc pracodawca ogranicza zatrudnienie, wtedy rośnie bezrobocie i wydatki na zasiłki; żeby je sfinansować, trzeba podnieść podatki, a wówczas tym bardziej nie opłaca się szukać pracy i tak bez końca.

Publicysta spostrzega też, iż przez szesnaście miesięcy rządów koalicji **SLD-UP-PSL** ubyło 300 tys. stanowisk pracy i dodaje nie bez melancholijnej drwiny, że uzyskanie takich strat na rynku pracy zajęło rządowi Jerzego Buzka 40 miesięcy. W systemie socjalistycznym, w którym żyliśmy do roku 1989 i kryptosocjalistycznym, w którym żyjemy, straty i destrukcje są zawsze wymierne.

Tymczasem *rządząca koalicja obiecywała* – napisał Marcin Król – że *jeśli głównym celem będzie zmniejszenie bezrobocia, a najlepszym na to sposobem jest szybko wzrost gospodarczy. Oszustwo było tu podwójne. Żadnych poważniejszych działań w zwalczaniu bezrobocia nie podjęto, a o skutecznym przy tworzeniu nowych miejsc pracy wrócić się gospodarczym na poziomie co najmniej 6 – 7 procent rocznie mowy nie ma i w najbliższych latach nie będzie.*

Nasza władza państwowa i w ogóle nasi politycy składający przed wyborami obietnice, których później nie spełniają, to groźny szuler zasiadający do gry z naiwnym społeczeństwem. Ani się ono spostrzeże, jak Wielki Szu bierze prawie całą kasą, a jemu pozostawia tylko tyle, żeby mogło zasiać do następnych gier i być ograne z tego, co uda się mu w szarej strefie zarobić albo zaoszczędzić przez odejmowanie sobie od ust. Nie dziwny się przeto, że targany poczuciem zupełnie bezsilności Marcin Król wzywa do... obywatelskiego nieposłuszeństwa: *... wzywam (...) do nieplacenia podatków, aż nie uzyskamy odpowiedzi, na co są przeznaczone (...). Zachęcam także do walki z programami szkolnymi, z urzędnikami państwowymi, którzy z nazwy mieliby zajmować się bezrobociem, opieką społeczną czy budownictwem mieszkaniowym, z pro-*

kuraturą i sądami, jeśli nie zaczną działać skutecznie i szybko. Zachęcam do odmowy współpracy z państwem.

Wszyscy z establishmentu władzy i polityki powinni poznać te słowa (**Rzeczpospolita** – 2 marca br.) i uswiadomić sobie, że albo nadal będą uprawiać wielkie oszustwa, a po śmierci zostaną przekłęci przez potomnych, albo tak zaczną kształtować Polskę, żeby mogła wreszcie stać się państwem z sobnym, cenionym partnerem Zachodu, dumą i gwarantem bogactwa swych obywateli.

Jak to zrobić? Przykład i wskazania zaledwie w sześćdziesięciu i osiemdziesięcioletniej odległości dziejowej. Po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. przez siedem lat – tylko siedem, nie czternaście – doznaliśmy bolesnych kłopotów gospodarczych, aczkolwiek nie były one tak groźne jak dzisiejsze, albowiem własność prywatna i dostęp do narzędzi produkcji nie były ograniczone, biurokracja nie paraliżowała działań publicznych, a sprawnego wymiaru sprawiedliwości była podziwiana i szanowana nawet przez naszych wrogów. W ciągu niecałego roku Władysław Grabski uczynił w gospodarce tyle, ile dla ekonomistów III Rzeczypospolitej razem wziętych i ćwierć wieku by nie wystarczyła. Energiją twórczą, którą w organizm gospodarzy kraju tchnął Grabski, wykorzystał później Eugeniusz Kwiatkowski – tak skutecznie, że nawet najsilniejsze uderzenia wielkiego światowego kryzysu mniej szkód nam wyrządziły niż innym państwom.

Czy dzisiaj więc wśród prawie czterdziestu milionów mieszkańców Polski i prawie piętnastu milionów Polaków żyjących w diasporach – nie znajdzie się nikt tak mądry i prawy jak Grabski i Kwiatkowski? Znajdzie się ponad wszelką wątpliwość bardzo dużo. Tylko jak tacy inteligentni i uczciwi fachowcy mogą być dopuszczeni do władzy, skoro tworzy ją z taką determinacją, jakby bronił niepodległości, Wielki Szu, który pośród mierzot moralnych i intelektualnych szuka pomocników do swych szachrajstw?

Jacek Wegner

Andrzej W. Pawluczuk

Polepszyć przestępcom

22 lutego, z inicjatywy Ministerstwa Sprawiedliwości, obchodzono po raz pierwszy w Polsce *Dzień Ofiar Przestępstw*. Oczywiście, nie chodziło o to, aby w tym dniu organizowano akademie i wygłaszano przemówienia. Cel był skromniejszy, ale za to bardziej chwalebny. W mediach (w czym przodował I program PR) przypomniano, że los ofiary przestępstwa bywa u nas często dużo gorszy niż los jej kata. Zwrócono uwagę, że powinniśmy nie tylko pomagać ofiarom przemocy, lecz także zmienić wiele przepisów prawnych i praktykę wymiaru sprawiedliwości. Prasa często bowiem opisuje sądy, prokuratorów i policjantów, którzy bardziej troszczą się o dobre samopoczucie zbrodniarza niż o to, aby osoba poszkodowana, czy jej rodzina otrzymała odpowiednie zadośćuczynienie moralne i materialne. Ustanowienie takiego dnia nie jest polskim wynalazkiem. Za sprawą *Europejskiego Forum Służb dla Ofiar Przestępstw* obchodzony jest on w Europie od 1991 roku, a więc ma już ponad dziesięcioletnią tradycję.

Polska nie byłaby jednak Polską, gdyby i w tej dziedzinie nie odbiegała od standardów cywilizowanego świata i nie zgłosiła w tej mierze swojego *odrębnego zdania*. Oto kilka dni przed ustanowionym *Dniem Ofiar* prominentni i utytułowani przedstawiciele nauk prawnych ogłosili dokument, w którym ujęli się za przestępcami, wychodząc zapewne z założenia, że należy ulżyć ich ciężkiej doli. Jak poinformowała *Rzeczpospolita* 19 lutego, profesorowie (a wśród nich, m. in. Andrzej Zoll – *Rzecznik Praw Obywatelskich* (!), Zbigniew Hołda, Leszek Kubicki i Jan Widacki) sprokurowali uchwałę, w której sprzeciwiają się zastrzeżeniu kar

za najgroźniejsze przestępstwa. Inicjatywie patronowały instytucje ze wszech miar godne szacunku: *Instytut Nauk Prawnych PAN, Towarzystwo Naukowe Prawa Karnego i Polskie Towarzystwo Kryminologiczne*.

Szanowni profesorowie w swoich naukowych katedrach są, być może, tak szczerze odgradzeni od życia, że nie znają realiów. Podam więc parę przykładów. Oto w telewizyjnej audycji *Ekspres reporterów* pokazano wstrząsający reportaż o ojcu rodziny, który, wróciwszy z więzienia, zamordował żonę. Wcześniej sąd skazał go na siedem lat pozbawienia wolności za gwałcenie córek i fizyczne znęcanie się nad dziećmi i żoną. Z tych siedmiu lat odsiedział zaledwie dwa (!), po czym, dodajmy: pozbawiony przez sąd praw rodzicielskich, przychodzi do domu w asyście policji, ponieważ jest tam nadal zameldowany i ma prawo tam mieszkać. Przez te dwa lata przerażonej kobiecie nie udało się zwyródniałego męża wyeksmitować ani nawet wymeldować z mieszkania, uciekła przed nim, schowała się i dzięki temu nadal żyła? Zapewne tak by było, gdyby polskich prawników bardziej obchodził los ofiary, niż przestępcy. Ale powiem więcej: gdyby owego mężczyźnię skazano nie na siedem, ale np. dziesięć lat więzienia, może wyszedłby dopiero po trzech czy czterech latach. Ta kobieta miałaby jeszcze przed sobą rok czy dwa lata spokojnego życia.

Jednak powyższy przypadek jest nie tylko dowodem przeciwko łagodnemu karaniu i nieskuteczności prawa. Zaświadcza także o tym, że ludzie biedni i mało wykształceni są w Polsce pozostawieni sami sobie. Jestem bowiem całkowicie pewien, że gdyby tę kobietę stać było na wynajęcie dobrego adwokata

(a to oznacza, że za wysokie honorarium), bez trudu i w krótkim czasie uzyskalaby od sądu nakaz eksmisji i wymeldowała by zwyródniałego męża. Konkluzja nasuwa się więc sama: ta kobieta żyłaby nadal, gdyby miała taki dostęp do pomocy prawnej, jak i mają ludzie zamożni.

Tymczasem bez takiego dostępu równość wobec prawa staje się fikcją (tak, tak, szanowni profesorowie) i problem wymaga natychmiastowego i radykalnego rozwiązania. Akurat bowiem w opisanym wyżej przypadku prawo i jego funkcjonariusze (opłacani nb. z naszych podatków) stanęli nie po stronie ofiary, ale – jednoznacznie i bez wątpliwości – po stronie przestępcy, ułatwiając mu dokonanie zabójstwa.

Kiedy jednak myślimy o bezsilności prawa wobec najgroźniejszych przestępców, warto zastanowić się i nad taką historią, którą opowiadano w pierwszym programie radiowym. Oto w województwie warmińsko-mazurskim policjanci przez kilka lat tropili sprytnego i uciążliwego kłusownika, który grasował także na terenie kłusowniczych rezerwatów. Wreszcie przyłapali go na gorącym uczynku, jednakże prokurator umorzył przeciwko niemu dochodzenie z powodu *nikłej społecznej szkodliwości czynu*, na co pozwala kodeks postępowania karnego. Cóż, okazuje się, że nie tylko można w Polsce karać łagodnie, można także w ogóle nie karać! Tylko po co w takim razie policja ma wyłapywać przestępców? W swojej uchwale profesorowie napisali m. in. (cytuję za *Rzeczpospolitą*), że surowe karanie *powoduje [...] znaczne koszty społeczne, w tym w szczególności ekonomiczne. Może zatem w ogóle należy zlikwidować policję, sądy i prokuraturę?* Pomyślmy, ile na tym zaoszczędzi biędny budżet naszego państwa. Posłowie będą przeciwko, czyżby można dać wynagrodzenie nie 30 tys. zł miesięcznie (jak to było – zgodnie z prawem! – w *KGHM-Międź*), ale – powiedzmy 40 tysięcy złotych. Szefowi *Orlenu* zaś podniesie się roczną premię z miliona złotych na dwa miliony. ■

Stanisław Michalkiewicz

Potęga ignorancji

Przybycie Lwa Rywina do Adama Michnika zepchnęło na drugi albo nawet trzeci plan wszystkie inne sprawy. Tak to przynajmniej wygląda w telewizji i w prasie. Pełno tam sprawozdań, opisów i spekulacji – co z tego może wynikać dla naszej młodej demokracji i w ogóle. Potwierdza to podejrzenia, że tzw. *czwarta władza* to nie tyle władza, co raczej czereda dworaków żyjąca z przeżuwania kuchennych lub alkokolowych plotek albo kolportująca pogodnie anegdoty z życia dworu. Inna rzecz, że kiedy politycy ostentacyjnie wyrzekają się wszelkie ideowości, narzędziem walki politycznej stają się rewelacje maglarskie, w których zresztą lud gustuje, bo przekonują one, że władza to nic strasznego i zachęcają do wzięcia udziału. Ponieważ zaś współuczestnictwo w rządzeniu uważane jest dziś za rodzaj ideału życia społecznego, to wszystko wydaje się być w najlepszym porządku. I w pewnym sensie słusznie, bo jakże inaczej żyć w sytuacji, kiedy władza polityczna ogarnia swoim imperium coraz to nowe dziedziny życia, zmuszając do uzyskiwania pozwoleń tam, gdzie do niedawna każdy sam był sobie panem? Sam instynkt samozachowawczy podpowiada, by czujnie nasłuchiwać najbliższych plotek dworskich, bo nigdy nie wiadomo, co ma znaczenie, a co go nie ma.

Na tym tle rzeczywistość co najmniej dziwnie wygląda informacja, że audytorium oglądające serial z życia codziennego szlachty jerozolimskiej i tubylczej w Polsce, czyli spektakl zwany *afetą Rywina*, liczy zaledwie 1,5 mln uczestników. Pan prof. Czapiński, psycholog społeczny z *Uniwersytetu Warszawskiego*, uznał, że to zdecydowanie za mało. Najwidoczniej uważa, że bliższe poznanie życia towarzyskiego i uczuciowego

szlachty jerozolimskiej i tubylczej podniesie egzystencję ludzi prostych na jakiś wyższy poziom. Nie jest to wykluczone; wysokość łapówki, jakiej podobno oczekiwał Rywin od spółki *Agora* może zachęcić nowe szeregi ambitnych obywateli do znalezienia się w elicie politycznej. W ten sposób stan szlachetki rozrośnie się co najmniej do 20 proc. społeczeństwa, a więc przekroczy dwukrotnie poziom nobilitacji w stosunku do stanu sprzed rozbiorów.

Jest to, rzecz prosta, szalenie pociągająca perspektywa, a ściślej – byłaby, gdyby nie jedno wydarzenie, kompletne przemilczane przez dworactwo zajęte plotkowaniem o *afetę Rywina*. Tak się bowiem złożyło, że w połowie lutego br. rząd skierował do sprzedaży 20-letnie obligacje skarbowe opiewające na miliard złotych i... nie udało mu się sprzedać ani jednej! W ten oto sposób ujrzeliśmy zarys tajemniczej ręki, która na ścianie III Rzeczypospolitej zaczyna pisać *mane tekel fares*. Bo niewątpliwie rząd będzie teraz próbował wepchnąć na rynek obligacje 10-letnie, a jeśli i tych nikt nie kupi – to pięć-, trzy- i dwuletnie, aż wreszcie roczne. W ciągu roku musi bowiem sprzedać obligacji za ponad 50 miliardów złotych, żeby sprostać wydatkom budżetowym. Jeśli okaże się, że spekulanci finansowi nie zechcą kupić nawet rocznych obligacji skarbowych, to znaczy, że nie wierzą, iż III Rzeczpospolita przetrwa najbliższy rok. Że nie wierzą, iżby miała przetrwać lat 20 – to już wiemy. Widac mają w pamięci sytuację, kiedy musieli polskie papiery dłużne wyprzedawać w Panamie czy na Kajmanach po 15 centów za dolara i musieli złożyć jakieś śluby panięskie, że to już nigdy się nie powtórzy. Więc jeśli taka jest tendencja, to rzeczywiście eurofile w pew-

nym sensie mają rację; pora likwidować to państwo, przylączyć je do *Unii Europejskiej*, bo jak nie, to zlikwiduje się samo. *UE*, bowiem, to ostatnia nadzieja tubylczej szlachty, cel jej ucieczki do przodu. Wprawdzie oznacza to stopniową likwidację państwa, ale płynne zachowanie posad, podczas gdy scenariusz argentyński oznacza, że posad trzeba będzie bronić siłą i siłą wydzierać pieniądze.

Taki ideał pielęgnuje szlachta tubylcza, bo szlachta jerozolimska politykuje na trochę wyższym poziomie i stawia sobie bardziej ambitne cele. Pisze o tym otwartym tekstem, bo sprawy zaszyły już tak daleko, że nie pora na aluzje. Tymczasem w kraju narastają protesty. Rolnicy domagają się od rządu, by skupował od nich wieprzki po *godnej* cenie, a znowu górnicy – żeby kupował węgiel i tak dalej. Artyści z kolei mają rządowi za złe, że nie prowadzi skupu obrazów i *instalacji*, słowem – zdecydowana większość oczekuje, że rząd poda jej pomocną dłoń, pełną szleszczących banknotów. Rząd może by nawet i podał, bo serce ma po lewej stronie, a ponadto nie wypada mu zapominać, że *niewymowne bo są cierpienia naszego proletariatu*, ale jakże tu podać, kiedy spekulanci nie chcą kupować obligacji? Siłą zmusić ich nie można, bo uciekną za granicę. Ta trudność wydaje się nie do pokonania, więc tylko patrzeć, jak pojawiają się głosy, by w takim razie rząd pozwolił obywatelom na rabowanie się nawzajem. Do tego bowiem sprowadzają się oczekiwania zamknięcia rynku przed importem, żeby polski wytwórca mógł sprzedać swoje wyroby po *godnej* cenie.

Nie jest to pomysł oryginalny, bo francuski prawnik Fryderyk Bastiat wykpiwał takie rozwiązania już prawie 200 lat temu. Na przykład przedstawił pewnego razu petycję producentów świec, którzy domagali się od rządu położenia kresu nieuczciwej konkurencji ze strony... światła słonecznego.

Kierunek protestów, które wzbierają falą przetaczają się przez Polskę i reakcja władz pokazuje, że żadne wnioski z doświadczeń poprzednich wieków nie są i nie będą wyciągane. ■

PRZEGLĄD PRASY

Przeżyły system

Na pierwszych stronach gazet dominuje od wielu tygodni afery Rywina i akcja policji w podwarszawskiej Magdalence – nie będę więc ich przypominał, gdyż media informują o nich codziennie, ujawniając nowe fakty i nie szczędząc gorzkich komentarzy. Warto zdać sobie jednak sprawę, że nie były to wydarzenia incydentalne. Potwierdziły tylko oplakany stan naszego państwa i po raz kolejny dowiodły że ci, którzy nami rządzą, nie mają ku temu ani kompetencji politycznych, ani – co gorsza – moralnych.

O tym, że państwowy i samorządowy aparat wszystkich szczebli przeżarty jest korupcją i nieudolnością, media informują od dawna. Przypomnijmy chociażby powtarzające się regulaminie malwersacje ogromnych funduszy przeznaczonych na pomoc i rehabilitację osób niepełnosprawnych, którymi zarządza **PFRON**. Po raz który z rządu, jak informowały o tym *Gazeta Wyborcza* i *Rzeczpospolita*, kontrolerzy **NIK** dowiedzieli się, że pieniądze te, w majestacie prawa, są zwyczajnie rozkradane, natomiast rzesze inwalidów nie mogą się doprosić o pomoc w zakupie wózka czy aparatu słuchowego. Przypomnijmy nie rozszadzoną, mimo upływu dziesięciu lat, słynną aferę **NFOZ**, czyli **Narodowego Funduszu Oddłużenia Zagranicznego**. Urzędnicy państwowi ukradli kilkaset milionów dolarów, ale państwowy wymiar sprawiedliwości wcale się nie kwapi, aby ich osądzić i ukarać. Jeżeli do tej wszechogarniającej korupcji, nepotyzmu, dziwnej niechęci prokuratury i sądów do ścigania przestępców zagrażających państwu i dodajmy nieudolność policji to widzimy, że sprawa Rywina jest zaledwie wierzchołkiem góry lodowej. Co natomiast skrywa w sobie sama góra?

W Polsce wszyscy doskonale wiedzą i co gorzej, że coraz lepiej wiedzą to także dziennikarze i politycy w krajach Za-

chodu i wcale tego nie ukrywają przed tamtejszą opinią publiczną. Jak napisało kilka tygodni temu w brytyjskim tygodniku *The Economist*, w Polsce *cały system jest przeżyły, zaś premier nie kontroluje swoich skorumpowanych podwładnych*. Według *GW* (3 III) fakt, że *Rywin liczył, iż ujdzie mu to na sucho, dowodzi, że takie rzeczy dzieją się w Polsce stale, nawet na szczeblach ministerialnych*. Nie może zatem dziwić porażająca konkluzja *The Economist*, który stwierdza, że *elita z Warszawy okrada zwykłych obywateli*.

Jeżeli rządzący nie zabiegają o poprawność Polski, ale o napełnianie własnych kieszeni, to przestaje również dziwić oplakany stan naszej gospodarki. Oto **PKP** ogłosił ostatnio, że zamierza zlikwidować ponad tysiąc (!) połączeń kolejowych, ponieważ są nieopłacalne. Oczywiście nikt nie zadał sobie trudu, by policzyć, ile z tego powodu stracą obywatele i przedsiębiorcy, bo przecież likwidacja taniego i powszechnie dostępnego transportu podetnie działalność wielu mniejszych i większych firm, które i tak ledwie żyją. Ba! Utrudni ludzkom dojazd do pracy, a wielu niezamożnym rodzinom w ogóle uniemożliwi posyłanie dzieci do szkół. I chociaż wszyscy na świecie wiedzą, że najbardziej opłacalną inwestycją jest inwestycja w edukację, wiedza ta jest całkowicie obca polskiemu politykom. Polska, która jeszcze dziesięć lat temu miała jedną z najgęstszych sieci kolejowych w Europie, stacza się w szybkim tempie do poziomu Albanii. Zresztą nie tylko pod tym jednym względem; także poziom bezrobocia (dodajmy – ciągle rosnącego) sytuuje nas w pobliżu Albanii, ponieważ wskaźnik ten w Rumunii i Bułgarii (nie wspominając już Litwy czy Estonii) jest niższy niż w Polsce. Niewykluczone zatem, że wkrótce powtórzy się sytuacja sprzed 1939 roku, kiedy to biedni Polacy jeździli na Łotwę, by u tam-

tejszych chłopów zarobić parę groszy przy kopaniu ziemniaków i uprawie lnu.

Ha, len – to temat na osobne opowiadanie, podobnie jak chmiel, przemysł stoczniowy czy rybacko-dalekomorskie. W produkcji lnu była Polska do niedawna światowym potentatem, a lniany wyroby były naszym przebojem eksportowym. Dzisiaj nie pozostał po tym ślad.

Można by zatem sądzić, że przy obecnej zapaści gospodarczej i rosnącym lawinowo bezrobociu rząd i administracja lokalna powinny nieustannie zabiegać o to, by krajowy przedsiębiorca jak najwięcej inwestował i jak najwięcej zatrudniał, gdyż na tym polega oczywiście interes kraju. Tak, można by tak sądzić, ale jak pokazują zasadnie losy nowosądeckiego biznesmena Romana Kluski, byłoby to myślenie na wskroś naiwne i nie z tego świata (nie z tego kraju). Otóż pan Kluska, zamiast płacić haracze politykom, wołał wspierać biednych, chorych, bezrobotnych i pomagać Kościołowi. I został przez tę niefrasobliwość przykładnie ukarany przez lokalnych bonzów politycznych. Angażując do pomocy aparat fiskalny, prokuraturę, policję i wojsko *ktos* zmusił tego uczciwego człowieka, aby pozbył się swojej firmy. Kim jest ten *ktos*? Ha, niestety zgadnąć, że ani policja ani prokuratura nie kwapią się, aby rzecz zbadać i ujawnić, wysyłane zaś przez p. Kluskę w tej sprawie pisma do ministra sprawiedliwości i premiera Millera pozostają – jak on sam powiedział w wywiadzie dla *Rzeczpospolitej* (25 II) – *bez żadnej odpowiedzi*.

Otto von Bismarck, znany powszechnie jako nieprzejednany polakożerca, powiedział ponad sto lat temu takie słowa: *dajcie Polakom państwo, a oni bez niczyjej pomocy doprowadzą je znowu do ruiny*. Mówiąc *znowu* Bismarck miał oczywiście na myśli rozbiory, bo przecież gdyby Polacy inaczej się zarządzili, do rozbiorów by nie doszło. Ale czy konieczne trzeba być wrogiem Polski, aby w taki sposób myśleć? Myślę, że nie, po prostu szydło wyszło z worka, a że rządzący się sami i w pełni suwerennie, nie możemy zważyć winy na ZSRR, bolszewików, Żydów, masonów, Niemców czy wojnę. Pozostali tylko cykliści...

AWP

Wydawca Miesięcznika PiP:

Wydawnictwo **MICHALINEUM**
Przy Kurii Generalnej
Zgromadzenia Św. Michała Archanioła.
Dyrektor Wydawnictwa Michalineum
ks. Krzysztof Kuźnik CSMA

Redaguje Zespół:

red. naczelny: ks. Sylwester Łącki CSMA
tel. (22) 771-45-95 lub 0 602 603 717
e-mail: pip@michalineum.pl

Adres redakcji:

PiP, ul. Piłsudskiego 248/252,
05-261 Marki k/Warszawy.
Telefon Wydawnictwa: (22) 781-16-40.

Skład, łamanie, druk:

Drukarnia **MICHALINEUM**.
Grafika komputerowa:
ks. Andrzej Rybicki CSMA

Redakcja nie zwraca maszynopisów
nie zamówionych.

Najkorzystniejsza jest prenumerata

Warunki prenumeraty

Roczna prenumerata 1 egz. wynosi 48 zł.
Opłatę na prenumeratę należy wpłacać na
konto:

PKO BP SA IV O/Warszawa
Filia Wołomin
55-10201042-122460033

W miejscu przeznaczonym na korespondencję prosimy wpisać okres prenumeraty i liczbę prenumerowanych egzemplarzy. Miesięcznik można otrzymać również za pobraniem pocztowym. W przypadku większej ilości egzemplarzy (ponad 10) udzielamy rabatu.

Zamówienia na czasopismo
prosimy kierować na adres:

Wydawnictwo **MICHALINEUM**
(Dział Kolportażu)
ul. Piłsudskiego 248/252
05-261 Marki
tel. (22) 781-14-20.

Redakcja dysponuje ograniczoną ilością
egzemplarzy archiwalnych.

Czasopismo można także nabyć w następujących domach zakonnych Zgromadzenia:
1. Warszawa-Bemowo II, ul. Ks. Markiewicza 1
2. Miejsce Piastowe, ul. Ks. Markiewicza 25a
3. Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 95a
4. Stalowa Wola, ul. Ofiar Katyń 57
5. Toruń, ul. Rybaki 59

Za zgodą władz kościelnych



W Starym Testamencie *miłosierdzie* oznacza szczególną *potęgę miłości*, która *wieksza jest niż grzech*. Jednak Bóg swoją miłość i miłosierdzie najdoskonalej objawił człowiekowi w swoim Synu: w Jego mecie i śmierci krzyżowej. Ta prawda o Bożym Miłosierdziu mocno przenika nauczanie Jana Pawła II w dzisiejszym świecie – nagminnie negującym i odrzucającym Boga. Podczas sierpniowej pielgrzymki do Polski mówił: *Wydaje się, że dzisiaj (Kościół) jest wezwany, by głosić światu to orędzie. Nie może zaniechać tej misji, skoro wzywa do tego sam Bóg przez świadectwo św. Faustyny. A wybrał do tego nasze czasy... Nie ma dla człowieka innego źródła nadziei, jak miłosierdzie Boga...*

Posłannictwo Siostry Faustyny nie zakończyło się z Jej śmiercią – szeroko rozeszło się po świecie. Przez nią Jezus Chrystus przekazał nowe formy kultu Miłosierdzia Bożego – obraz Jezusa Miłosiernego, święto Miłosierdzia Bożego, Koronka do Bożego Miłosierdzia i Godzina Miłosierdzia. To Jezus powiedział św. Faustynie: *Nie zagna ludzkość uspokojenia dopóki się nie wróci z ufnością do Miłosierdzia Mojego (...). Powiedz zbolalej ludzkości niech się przytuli do Miłosiernego Serca Mojego, a ja ją napelnę pokojem (Dzienniczek, 300, 1074).*

Wydawnictwo **Michalineum** wraz z fotografikami – Grzegorzem Gałązką swoim najnowszym albumem: *Święta Siostra Faustyna – Szafarka Bożego Miłosierdzia* odpowiadają na tę potrzebę dzieł. Owa publikacja prezentuje miejsca, z którymi Opatrzność Boża związała życie św. Siostry Faustyny Kowalskiej, zaś przytoczone fragmenty wypowiedzi św. Faustyny i Jana Pawła II dopełniają całości dzieła. Na tych kartach prześledzimy życiową drogę Faustyny Kowalskiej – biednej dziewczyny z Głogowca. Zobaczymy miejsca kluczowe dla jej misji, zajrzymy niemal w głąb jej duszy – w niej toczyło się wielkie zmaganie człowieka z Bogiem, który ją wybrał i z Szatanem, który chciał ją wydrzeć Bogu i zataić to orędzie. Staniemy z nią w miejscach objawień oraz tam, gdzie pełniła posługę najzwyczajniejszą zakonnicy.

Wreszcie znajdziemy się na Placu św. Piotra w Rzymie, gdzie będziemy świadkami beatyfikacji i kanonizacji dokonanej przez Jana Pawła II. I znowu wrócimy do Ojczyzny, aby z Ojcem Świętym konsekrować nową świątynię Miłosierdzia Bożego w Łagiewnikach, skąd *ma wyjść iskra, która przygotuje świat na ostateczne przyjście Chrystusa*. Spotkamy też rzesze pielgrzymów, które tam szukają siły i nadziei w Bożym Miłosierdziu.

Album *Święta Siostra Faustyna – Szafarka Bożego Miłosierdzia* to udana próba włączenia się w szerzenie kultu Miłosierdzia Bożego oraz niezwykłe spotkanie w obrazie i słowie ze skarbem, który dał nam Bóg za pośrednictwem św. Faustyny – z Miłosiernym Jezusem Chrystusem, który *nie przyszedł świat potępić, ale zbawić*. (Foto – patrz kontrolkadę, s. 40).

Album proponuje się pod adresem:

Wydawnictwo **Michalineum**
ul. Piłsudskiego 248/252
05-261 Marki
tel. 0 (22) 781-14-20, fax (22) 771 36 15
e-mail: wydawnictwo@michalineum.pl

Cena jednego egzemplarza wynosi 25 zł plus koszty wysyłki.